

OGÓLNOPOLSKI KONKURS



"O LITERACKI
LAUR
ARBUZA"

II LO IM. STEFANA ŻEROMSKIEGO W TOMASZOWIE MAZ.

XXIV
Ogólnopolski Konkurs Literacki
POEZJA I PROZA
2018

O LITERACKI LAUR ARBUZA

XXIV Ogólnopolski Konkurs Literacki

II Liceum Ogólnokształcące
im. Stefana Żeromskiego
w Tomaszowie Maz.

Tomaszów Mazowiecki 2018

Projekt okładki: **Jolanta Karwasik** - nauczyciel II LO
Projekt logo: **Sławomir Wójcik** - absolwent II LO
Opracowanie tekstów: **Adrianna Jachimowska** - nauczyciel II LO
Skład, łamanie tekstu i druk: **Bartłomiej Wilczyński** Druk 24H

Publikacja zawiera wszystkie wyróżnione prace
XXIV Ogólnopolskiego Konkursu „O Literacki Laur Arbuza”

© Copyright by *II Liceum Ogólnokształcące*
Tomaszów Mazowiecki 2018. Wydanie pierwsze

Patronem medialnym od początku istnienia Ogólnopolskiego Konkursu „O Literacki Laur Arbuza” jest Redakcja Tomaszowskiego Informatora Tygodniowego. Nagrodzone teksty drukowane są w świątecznym numerze gazety. Najlepsza praca uzyskuje nagrodę Grand Prix. Tegoroczna edycja konkursu odbywa się pod patronatem UNESCO, Wydawnictwa Naukowego PWN, Starosty Powiatu Tomaszowskiego, Prezydenta Miasta Tomaszowa Mazowieckiego, którzy ufundowali nagrody. Również Rada Rodziców przy II Liceum Ogólnokształcącym w Tomaszowie Mazowieckim zapewniła nagrody. Honorowy patronat nad konkursem objął Łódzki Kurator Oświaty.

Na konkurs wpłynęło 55 prac, w tym 31 poezji i 24 pisane prozą. Uczestnicy to głównie uczniowie szkół ponadgimnazjalnych.

Nadesłano prace z całej Polski, m.in. z: Chorzowa, Dębicy, Katowic, Łodzi, Łowicza, Tomaszowa Mazowieckiego, Przemyśla, Wielunia

Komisja konkursowa obradowała w składzie:

- Ewa Adamska – bibliotekoznawca, dyrektor Miejskiej Biblioteki Publicznej;
- Sławomira Mrozowicz – teatrolog, dyrektor Gminnego Ośrodka Kultury w Kleszczowie;
- Urszula Stefaniak – nauczyciel polonista;
- Adrianna Jachimowska – nauczyciel polonista;
- Krzysztof Kleszcz – poeta, autor książek poetyckich: „E”, „Przecieki z góry”, „Pański płaszcz”, nagrodzony w konkursie Poemat Czterech Kultur (2017), wyróżniony w konkursie Złoty Środek Poezji za debiut poetycki (2009).

Komisja po przeczytaniu prac, bardzo żywej i długiej dyskusji przyznała następujące nagrody i wyróżnienia:

W kategorii prozy:

- Grand Prix – godło Czarna Wołga – Magdalena Piasecka, I Liceum Ogólnokształcące im. Juliusza Słowackiego w Przemyślu;
- I miejsce – godło Kubileusz – Jakub Gamrot, II Liceum Ogólnokształcące im. Stefana Żeromskiego w Tomaszowie Mazowieckim;
- II miejsce – godło Nikotyna – Zuzanna Dziubek, I Liceum Ogólnokształcące im. Jarosława Dąbrowskiego w Tomaszowie Mazowieckim;
- III miejsce – godło Coffee – Martyna Juszczyk, Liceum Ogólnokształcące „Thomas” w Tomaszowie Mazowieckim

- wyróżnienia:

godło Isleen – Oliwia Doszczak, II Liceum Ogólnokształcące im. Stefana Żeromskiego w Tomaszowie Mazowieckim;

godło JC – Justyna Ciebień, II Liceum Ogólnokształcące im. ks. Jana Twardowskiego w Dębicy;

W kategorii poezji:

- I miejsce – godło Red – Monika Czajka, I Liceum Ogólnokształcące im. Józefa Chełmońskiego w Łowiczu;

- II miejsce – godło ☾ – Aleksandra Rzadkowolska, Zespół Szkół Ogólnokształcących we Włocławku;

- III miejsce – godło Nita – Sandra Maria Tokarska, II Liceum Ogólnokształcące im. Stefana Żeromskiego w Tomaszowie Mazowieckim;

- wyróżnienie:

godło Damaszek 19 – Estera Sośniecka – III Liceum Ogólnokształcące im. Adama Mickiewicza w Katowicach.

Wszystkim autorom prac
serdecznie dziękujemy

Proza



Magdalena Piasecka
(godło: Czarna Wołga)
I Liceum Ogólnokształcące im. J. Słowackiego
w Przemyślu

Ptaki drapieżne

Rok 97 Ery Gasnącego Słońca. Na peron w mieście o zapomnianej nazwie powoli wtaczał się rdzewiejący pociąg, wydając spod kół przenikliwy zgrzyt. Troje ludzi stało pod odrapaną ścianą budynku, który już dawno zapomniał lata swojej świetności. Starzec wraz z dziewczyną i chłopakiem pozostawali nieruchomi, czekając cierpliwie, aż czarne, groźne sylwetki Zniekształconych wtoczą się w martwej ciszy do środka wagonów. Młodzi wiedzieli, że pod żadnym pozorem nie mogli złapać kontaktu wzrokowego – mimo to nie mogli się powstrzymać. Zniekształceni rzadko zaszczycali ich choćby przelotnym spojrzeniem.

Dopiero, gdy rozległ się przytłumiony bulgot, imitujący nieudolnie ostry świst, ludzie wsiedli do pociągu w tej samej sekundzie, w której maszyna ruszyła. Starzec od razu skierował się do najgorszego przedziału, gdzie nie siedziała żadna z kreatur. Chłopak wtaszczył za opiekunem dwie, dość pokaźne, wypchane po brzegi torby, jednak dziewczyna zawahała się, spoglądając krytycznie na spróchniałe siedzenia i dziurę w dachu, w której upiornie zawodził wiatr, coraz głośniejszy i głośniejszy, wraz z nabierającym prędkości pociągiem.

- Pustułka, już nie rób takiej miny – mruknął starzec, nakłaniając ją subtelnym machnięciem dłoni, by weszła do środka. Zrobiła raptem jeden krok i zamknęła za sobą przesuwane drzwi, najciszej jak umiała. – Uwierz mi, przyjdzie ci kiedyś podróżować w znacznie gorszych warunkach.

- O ile dożyję kolejnej podróży – odparła z rezygnacją i usiadła na siedzeniu obok chłopaka, który zdążył się już wygodnie umościć i oprzeć głowę o zakurzoną szybę.

Ruiny miasta powoli pozostawały za nimi. Zniknął dobrze im znany dworzec, jedyne miejsce umożliwiające opuszczenie terenów zamieszkałych. Teraz ich oczom ukazywały się ogromne połacie lasów i wiosek – równie sza-

rych, ponurych i martwych, jak każdy inny zakątek świata, który kiedykolwiek widzieli. Który kiedykolwiek zobaczą.

- I pomyśleć, że według podań to wszystko było przepelnione intensywną zielenią, zwierzętami, kwiatami, ludźmi... - prychnął z niedowierzaniem chłopak, krzyżując ręce na piersi. – Pamiętasz coś z tego okresu, Sokole?

- Roztrząsanie przeszłości to nigdy nie jest dobry temat na pogawędkę w pracy, Bieliku. I nawet gdybym chciał ci cokolwiek opowiedzieć, nie pamiętam niczego konkretnego. Nikt z żyjących już nie pamięta. – do głosu Sokoła zakradła się melancholia.

- Ciekawe, jak to jest. – Pustułka odchyliła głowę do tyłu, patrząc na ciemnoszare niebo przemykające w wyrwie w dachu. – Czuć na sobie ciepło słońca. Widzieć ludzi wokół siebie.

- To już przepadło. – wtrącił starzec, wypuszczając kłęby dymu przez nos. – Zniekształceni zniszczyli wszystko. Książki, maszyny, miasta i na końcu praktycznie nas. Pojawienie się Kolosów, mimo iż są największym utrapieniem tego świata, w jakiś sposób nas uratowało. Jesteśmy potrzebni, by się ich pozbywać. Zniekształceni sobie z nimi nie radzą.

- Ale skąd się w ogóle wzięli ci „Zniekształceni”? – spytał Bielik.

- Pamiętam, gdy podczas szkolenia w podziemiach opowiadano, że oni po prostu... powstali. Nikt nie wie jak. Nikt nie wie dlaczego. Ale faktem jest, że nim się pojawili, byliśmy władcami tego świata. – odpowiedziała Pustułka przyjacielowi, który patrzył się na nią dość sceptycznie. – Co nie zmienia faktu, że ponieśliśmy druzgocącą klęskę.

- Gdy byłem w waszym wieku, mówiono, że to my sami sprowadziliśmy ten los na siebie. I prawdę powiedziawszy – jestem skłonny w to uwierzyć. – Sokół spojrzął po młodych beznamyślnie. – Jesteśmy gatunkiem destruktywnym, stworzyliśmy Zniekształconym warunki do pojawienia się. Oni natomiast, nawet bardziej niszczyli niż my, zesłali Kolosów, którzy dali nam szansę na znalezienie argumentu, by pozwolono nam żyć.

- To też jest absurd. – zaśmiał się krótko Bielik. – Jeśli nie walczymy z Kolosami, pozbywają się nas. Jeśli z nimi walczymy, najczęściej również ginimy. A jeśli hipotetycznie pokonamy ich wszystkich, staniemy się bezużyteczni. Za kilka lat będziemy gatunkiem wymarłym. To sytuacja bez wyjścia...

- A to nie jest czas i miejsce na takie wywody. – uciął mu krótko starzec.

- To rzeczywistość. Przetrawanie i tak zawsze polegało na obudzeniu się żywym. Nasi poprzednicy szukali czegoś więcej i spojrz, gdzie ich to doprowadziło. A teraz koniec tego tematu. To zbyt niebezpieczne. To, że Zniekształceni nas nie słuchają, nie znaczy, że nas nie słyszą.

Pustułka i Bielik zamilkli zgodnie, bez jakiegokolwiek znaku sprzeciwu. To była jedna z pierwszych zasad, jakie poznali – gdy kreatury są blisko, nie prowokuj ich niczym.

W przedziale panowała martwa, niespokojna cisza, gdy pociąg wjechał do pozostałości miasta. Było znacznie bardziej zniszczone od ich terenu. Mogli patrzeć miejscami nawet kilkaset metrów wprzód, a żaden z budynków nie przesłaniał im widoku. Jedyne czasami samotne ostańce z oberwanymi dachami czy bez części kondygnacji migały przed ich oczami. Ich mięśnie napinały się wtedy instynktownie. Rudery zawsze były wypełnione Zniekształconymi. Jeśli byłeś nieostrożny, mogłeś złapać kontakt wzrokowy z ciemną sylwetką. Choć z takiej odległości mogło to być bezpieczne, nikt nie chciał patrzeć w zapadłe oczodoły i całkowicie czarne ślepia, błyszczące niczym obsydian. Pustka w nich zawarta była straszniejsza od czegokolwiek innego.

Pociąg zatrzymał się z kolejnym, nieprzyjemnym zgrzytem. Zaczęła się mechaniczna wręcz wymiana Zniekształconych – najpierw jedni wysiadali, drudzy beznamiętnie czekali. Starzec, obserwując otoczenie kątem oka, syknął ze zdenerwowaniem.

- Dużo ich tu. Za dużo. – mruknął pod nosem. Dzieciaki nachyliły się w jego stronę konspiracyjnie, czując jak krew zaczyna dudnić im w uszach.

- Co jest grane, Sokół? – szepnęła Pustułka. – Czemu kierują się na zachód, tam gdzie my? Przecież tam podobno szaleje Kolos.

- Ona ma rację. – poparł ją Bielik. – Coś nie gra. Nikt normalny... przepraszam, nikt normalny dla Zniekształconych nie pchałby się w sidła Kolosa.

- Dzieciaki, cicho. Pewnie zbierają z sąsiednich miast co się da. I teraz: cisza. – starzec wyglądał na równie zaniepokojonego co oni. – Jest ich więcej. Wejdą do naszego przedziału.

- Świetnie, zginiemy nim w ogóle dotrzemy na miejsce. Tej optymistycznej opcji nie brałam pod uwagę – mruknęła dziewczyna.

- Bez dyskusji. Każdy broń w dłoń i coś przy niej róbcie. Tylko zaklinam was, naturalnie. I przypominam: oczy wlepione w broń, nie podnosić wzro-

ku i pod żadnym pozorem nie rozmawiać – przestrzegł ich Sokół, rzucając im sprawnie po jednej ze strzelb z wypchanych toreb. Młodzi chwycili ją równie sprawnie. Nie byli mistrzami w tym fachu, ale przeżyli do teraz. To coś znaczyło.

Każdy z trójki był bezgranicznie skupiony na czyszczeniu czy ostentacyjnym majsterkowaniu przy broni, gdy suwane drzwi od przedziału zostały otworzone przez czwórkę Zniekształconych. Bielik i Pustułka mimowolnie przysunęli się bliżej siebie.

Kreatury zastygły, spoglądając na nich oraz na ich broń – wyraźny znak, że pracują dla nich i teoretycznie wyświadczają im przysługi. To zazwyczaj sprawiało, że rezygnowali z przedziału i szukali dla siebie miejsca gdzieś indziej. Cóż – najwyraźniej nie dzisiaj.

Postacie usiadły obok nich, niewzruszone zupełnie. Młodzi nie mogli powstrzymać oczu, by nie wędrowały ukradkiem na obecnych współtowarzyszy podróży.

Pociąg ruszył z ociąganiem z peronu, mknąc coraz głębiej w kontynent.

Zniekształceni byli w swej prostocie istotami przerażającymi – wyżsi zazwyczaj o głowę od dorosłego mężczyzny, kształtem sylwetki przypominali ludzi – jednak tutaj powierzchowne podobieństwo kończyło się. Wydawali się stworzeni z czarnych odmętów, jakby gęstej mazi, nieustannie przelewającej się i bulgoczącej. Ich obecność zawsze sprawiała, że temperatura była niższa, a światło ciemniejsze. Najgorsze jednak były ich twarze – wydrążone w mazi oczodoły z ciemnymi niczym obsydian ślepiami oraz sklezione usta, otwierające się przy akompaniamencie paskudnego dźwięku rozdzieranych mięśni.

Sokół nawet nie drgnął, gdy Zniekształceni weszli. Bielik i Pustułka potrzebowali kilku minut, by oswoić się z towarzystwem. Nie byli pierwszy raz na takim zleceniu i pocieszał ich ten niewesoły fakt, że najgorsze jest wciąż daleko przed nimi. Kilka kreatur nie stanowiło dla nich zbyt wielkiego zagrożenia.

Jednak nic nie jest takie proste, jak mogłoby się wydawać.

- Szlag by to. – mruknął Bielik pod nosem, gdy jedna z zębatek zacięła się i dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że popełnił najgłupszy błąd – odezwał się. Poderwał z przerażeniem głowę (drugi głupi błąd) i dostrzegł, że każda para obsydianowych oczu jest skupiona na nim. Nie mógł oderwać wzroku. Obok niego Pustułka skuliła się, przyśpieszając polerowanie lufy, Sokół na-

tomiast całkowicie zastygł w bezruchu i chrząknął znacząco na chłopaka.

Ale wszystko przepadło. Wtaczali się na ostatni peron przed obszarem terroryzowanym przez Kolosa. Bielik modlił się w duchu do bogów, których nie znał, ale w których wierzył, by Zniekształceni odpuścili. Powoli wbił wzrok ponownie w swoją broń i drżące dłonie.

Na ostatnim peronie nie było żadnej istoty. Brakowało nawet zwykłych przedmiotów pokroju zniszczonych tablic czy połamanych ławek. Zniekształceni dość szybko opuścili pociąg – każdy z nich wyczuwał niebezpieczeństwo. Cztery kreatury z przedziału wstały synchronicznie. Jednak zamiast postąpić w kierunku wyjścia, stanęły nad Bielikiem. Zamarł, czując, że to koniec. Wtem rozległ się dźwięk przeładowywanej broni, tuż obok niego.

Obsydianowe oczy błyskawicznie skierowały się w stronę Pustułki, która mimo czystego przerażenia w oczach, przybrała rozluźnioną, nonszalanczką pozycję.

- Wybaczcie, chłopaki. Taki żarcik – powiedziała, a jej głos zabrzmiał obco i głośno. Nim Zniekształceni jakkolwiek zareagowali, pozdrowiła ich szyderczo, jakby salutując swoim karabinem. Za nią Sokół zdawał się siwieć w oczach ze stachu o ich życie.

Pustułka spojrzała Zniekształconym w oczy. Było to bardzo rzadkie – ludzie nigdy nie chcieli tego robić, kreatury nie były do tego przyzwyczajone. I może właśnie przez tę brawurę oraz zaskoczenie nieszablonowym zachowaniem dziewczyny, wycofały się z przedziału.

Pociąg stał jeszcze chwilę na peronie, po czym ruszył naprzód.

Cała trójka łączywie zaczerpnęła powietrza, uspokajając rozszalałe serca.

- Jesteście bezmyślnymi gówniarzami – sapnął wściekle Sokół. – Co to w ogóle za akcja była z tą bronią, Pustułka!? To nie są czasy bohaterów, to czasy niedobitków!

Młodzi spojrzeli po sobie i roześmiali się histerycznie do siebie, ukrywając łzy ulgi. Odnieśli małe zwycięstwo. Milcząc, Sokół popatrzył tylko na nich i spojrzał za okno.

Krajobraz stał się jeszcze mroczniejszy. Wszystko zniszczone, tak jak gdzie indziej. Cisza, której nic nie przerywało, bo nie było tu nawet Zniekształconych. Jednak coś było inaczej. Instynkt podpowiadał, że do czegoś się zbliżają lub, co gorsza, coś zbliża się do nich.

- Bez dwóch zdań to będzie Kolos. Mam tylko nadzieję, że nie ten, o którym myślę. – rzekł Sokół po chwili milczenia. – Oto prawdziwie wymarły krajobraz, moi drodzy. Dziedzictwo, które nam pozostało – starzec wstał i rozprostował kości. – Ruszcie się, młodzi. W tym pociągu oprócz nas nie będzie już nikogo.

- Żaden Zniekształcony nie wybrał pociągu donikąd? Co za strata – westchnęła sarkastycznie Pustułka, jednak zatrzymała się tuż za Sokółem, który nie przekroczył progu przedziału. Mężczyzna napiął wszystkie mięśnie i rozkazał spokojnie:

- Bielik, rzuć broń – chłopak zbladł, jednak wykonał odruchowo polecenie.

- Jeden z twoich nowych kolegów z nami został – rzucił starzec, po czym wpadł do środka wagonu błyskawicznie. Mimo lat wciąż poruszał się zwinnie.

Zniekształcony, jak słusznie zakładał Sokół, nie miał przyjaznych zamiarów. Nim w ogóle mężczyzna wpadł do środka, kreatura już uśmiechnęła się makabrycznie i przygotowała do walki. Po czym zarobiła prosto w twarz kolbą od broni.

- Sokół, walka ze Zniekształconymi jest zakazana! Związek nas wywali! – krzyknęła z przerażeniem Pustułka, ale sama wypadła z przedziału ze swoim karabinem, by pomóc opiekunowi. Uniknęła z trudem mazistej łapy czarnej postaci.

- Nie daj się dotknąć! – warknął na nią Sokół, samemu upadając na ziemię, by nie oberwać. – Jeśli nie ukatrupimy drania, Związek nie będzie miał kogo wywalić!

Trójka zaczęła taniec śmierci – żadne z nich nie było wirtuozem walki, więc ruchy były brutalne i jednocześnie pokraczne. Bielik natomiast usiłował złapać kontakt wzrokowy z Pustułką, która w ferworze walki ledwo co dostrzegła jego rozwichrzone włosy wystające zza drzwi do przedziału. I od razu załapała, co planuje towarzysz.

Z ostrym świstem podręczny sztylet wbił się między oczy Zniekształconego, nie robiąc mu krzywdy, lecz rozsierdzając do granic wytrzymałości. Wściekła ciemna postać rzuciła się na dziewczynę, która rzuciła się biegiem w kierunku ich przedziału. Czarna dłoń praktycznie chwyciła ją za kark, gdy mijała drzwi – jednak wtedy rozległ się gwałtowny huk.

Szkoło rozprysnęło się wokół, gdy Bielik impetem ciała wypchnął Znie-

kształconego przez okno. Czarna maź uderzyła o kamieniste podłoże i szybko została w tyle, daleko za pociągiem. Echem poniósł się jedynie jej przesywający wrzask.

- Krzyknęło coś konkretnego? – wysapała Pustułka, wyglądając przez okno.

- „Przekłęte ptactwo” – mruknął Sokół, opadając ze zmęczeniem na siedzenie. – Bielik, pomijając, że to wszystko twoja wina... Dobra robota, chłopcze.

Bielik uśmiechnął się słabo i nic nie powiedziawszy, oparł się o ścianę, odychając ciężko. Zamknął oczy, starając napawać się chwilowym spokojem.

Na ostatni peron zawitali nocą. Było tak samo ponuro, jak kilka godzin temu – wraz z wygaśniętym Słońcem, noc określało tylko pojawienie się Księżycy na niebie.

Sokół spojrzał po swoich podopiecznych, którzy czekali tylko na jego skinienie głowy. Nie mając wyboru, skinął i cała trójka ruszyła naprzód w stronę opuszczonego miasta. Ulice były puste, przetrzebione ze wszystkich ciał czy wraków maszyn ubiegłej epoki. Jedynie latarnie świeciły jasnym, oślepiającym światłem. Tutaj wszyscy bezwarunkowo milczeli – dopóki nie mieli pojęcia, z czym mieli się mierzyć, każdy środek ostrożności był wymagany. Stawiali cicho kroki, ściskając broń w gotowości, nie mając pojęcia, czy będzie skuteczna.

Ale to nie broń pozwalała ludziom pokonać Kolosów. Gdyby wystarczyło oddać kilka strzałów, każdy ze Zniekształconych byłby w stanie powalić wroga. Każdy Kolos był łagodnym stworzeniem w stosunku do ludzi, jedynie kilka odmian stawiało opór. Ich jedynym celem byli Zniekształceni. Jakby ktoś zaprogramował ich do destrukcji tych istot.

Sokół westchnął pod nosem, oddając się na chwilę rozważaniom. Ludzie. Najdurniejszy gatunek. Zamiast pomóc wrogowi swojego wroga, postanowili zawrzeć tymczasowy pokój, nieoferujący nic trwałego. Odwleczenie nieuniknionego wymarcia.

Wtem światła latarni zaczęły gwałtownie migać. Cała trójka zamarła.

- Cholera jasna! To Pochłaniacz Świata! – wrzasnął Sokół. – Wszyscy do budynku!

Nim jednak zdążyli gdziekolwiek wbiec, latarnie na obszarze całego miasta zgasły w tym samym momencie. Było to ciche i spokojne zniknięcie. Jed-

nak trójka ludzi pozostała w całkowitych ciemnościach, zaczynając czuć adrenalinę krążącą w żyłach.

Trafili na łagodny typ: mówiono, że nie posiadał nawet pancerza. Jednak nikt nigdy nie widział go dostatecznie długo, by opisać jego wygląd. Pochłaniał każde źródło światła, nawet po swojej śmierci, pozostawiając wszystkich w nieprzeniknionych ciemnościach. Słyszeli, jak Kolos ociężale przechodzi obok nich, czuli wręcz potęgę jego wzrostu. Stwór na pewno ich wyczuł, jednak nie reagował – i oni mogliby również go oszczędzić, tak jak on ich.

Ale misja jest misją.

Pustułka wybiegła, kierując się odgłosem kroków Kolosa. Stała na środku ulicy, odbezpieczyła granat świetlny i wyrzuciła go wysoko do góry. Przez ten ułamek sekundy, w jakim błysnęło światło, Bielik i Sokół nakierowali swoją broń na Kolosa i zaczęli strzelać bez opamiętania.

Po kilku minutach amunicja się skończyła, a nierówna, łatwa walka dobiegła końca. Usłyszeli jak ciało Pochłaniacza Światła pada z głuchym tąpnięciem na ziemię. Choć wydarli się na całe gardło, by uczcić zwycięstwo, Pustułka nie przyłączyła się. Trwała w milczeniu.

Bo widziała Pochłaniacza. Przez tę sekundę. Rozpoznała te kształty, tak bardzo jej znajome. Wiedziała, że to, co dostrzegła zostanie z nią na zawsze. Wiedziała również, że nigdy nie zdradzi, kogo dostrzegła w sylwetce Kolosa.

Bo i tak nie miało to większego znaczenia.

Bo byli raptem trybikiem w rdzewiejącej maszynie tego rozpadającego się świata.

Bo Pustułka za kilka lat pokryje się tą samą mazią, co Zniekształceni.

Bo Sokół raptem w następnym tygodniu dokona żywota.

Bo Bielik zrezygnuje z tej haniebnej pracy i będzie się ukrywał, aż do końca swoich dni.

A po nich te imiona ptaków drapieżnych dostaną inni, a po nich jeszcze kolejni, zaślepieni pragnieniem przetrwania, by na zlecenie swoich oprawców zabijać jedynych potencjalnych sprzymierzeńców ludzkości. I tak aż do upadku ostatniego Kolosa, gdy to ludzie staną się zbędni.



Jakub Gamrot
(godło: Kubileusz)

**II Liceum Ogólnokształcące im. S. Żeromskiego
w Tomaszowie Mazowieckim**

Kultura Narzekania

Jak tu pięknie! Serce mi zaraz pęknie! To jest niesamowite uczucie, móc zobaczyć tak piękną gwiazdę z tak bliska. NOIU widzicie to, co ja? Proxima Centauri rzut beretem od statku. Mógłbym tak patrzeć na tę gwiazdę bez końca, wiecie NOIU? Za cztery lata zobaczycie to, co ja i oczom nie uwierzycie! Jestem najszczęśliwszym człowiekiem na statku! Tymczasem... wykonuję dalej misję i czekam na odpowiedni kąt na powrót na Ziemię. Bez odbioru - wpatrując się w gwiazdę Proxima Centauri, wysłał wiadomość do NOIU. Jego statek dryfował na "falach" grawitacyjnych Proximy, powoli (bo zajęło to parę godzin) kreśląc wokół niej krąg. Kiedy z powrotem skierował się w stronę Ziemi, na nowo włączył silniki i rozpoczął podróż powrotną na rodzinną planetę, z której leciał niecałe piętnaście lat w tęsknocie i poczuciu winy. Teraz wreszcie czuł się wyzwolony, szczęśliwy. Nie był jednak świadomy, że jego powrót na Ziemię nie będzie wyglądał tak, jakby chciał.

Juliusz - bo tak miał na imię - miał bowiem niesamowitego pecha. Niecałe trzy lata później weszła w życie ustawa, która w połączeniu z relacjami zachwyconego Juliusza patrzącego na Proxima Centauri, która nadeszła ponad rok później, spowodowała chaos, który zapoczątkował trzynaście rozpraw sądowych, osiem szantaży, pięć pobić, cztery protesty z motywem przewodnim "prawo nie działa wstecz" i jedną rozgrywkę w bilard. Świat ostatecznie uznał Juliusza za winnego, w wyniku czego Julek został kozłem ofiarnym i przykładem dla innych, że sprawa prawa jest bardzo poważna. Skazano go na jedenaście lat. Za jedno nagranie.

Na szczęście historia Juliusza nie jest motywem przewodnim w tym opowiadaniu, on sam jest raczej postacią epizodyczną. Miała ona tylko na celu ukazać w skrócie działanie świata przedstawionego, w którym będzie się odbywała przygoda Zachariasza. Swój początek miała ona, gdy jego wiek był zapisywany cyfrą. Kiedy zaczął być świadomy tego, co się dzieje wokół. My

jednak odwiedzimy rok, w którym ogłoszono wejście w życie TEJ ustawy. TEJ, która nęka w snach tysiące ludzi, TEJ, którą sam Hades próbował wrzucić do Tartaru (niestety z marnym skutkiem). Gdybyście o niej usłyszeli, pomysłelibyście „co za brednie!”, chociaż w głębi waszej świadomości przeraziłibyście się na samą myśl, że takie monstrum mogło w jakiegokolwiek rzeczywistości powstać.

Zachariasz Bagienny był... inny niż przeciętny nastolatek, co, paradoksalnie, czyni go takim samym jak wszyscy¹. Miał naście lat (w przybliżeniu siedemnaście) i jego inność (a może właśnie coś, co go czyniło podobnym do rówieśników) polegała na zapale. Jego matka zawsze mówiła, że ma entuzjazm po ojcu. Mówiła to z taką (porównywalnych do rozmiarów takiego psa) tęsknotą, mniej więcej do jego osiemnastych urodzin. Od tamtego czasu zaczęła mówić to ze wstydem. Wstydziła się syna. Kiedy Zachariasz miał dziewiętnaście lat (co zbiegło się z dotarciem wiadomości Juliusza z Proximy na Ziemię) matka zupełnie przestała mówić o ojcu. A wszystko przez tę pamiętną ustawę.

Ojca nigdy nie poznał. Mama mówiła (kiedy jeszcze o nim wspominała), że zawsze miał głowę w chmurach. Nie mówiła, gdzie odszedł, po co i dlaczego z nimi nie został. Zachariasz wiedział jednak, że go kochała. Nawet po wejściu ustawy. Nie mogła tylko o nim mówić. W sumie nie był zły na ojca. „Może to nie była jego wina. Skoro mama nie ma mu za złe, to czemu ja mam mieć?”

Jeszcze zanim TA ustawa została wprowadzona, Zachariasz był w szkole karany za jego brak skupienia, zorganizowania. Piętnowano jego chaotyczność, spontaniczność. Szkoła czuła się odpowiedzialna za wsadzenie wszystkich jej uczniów do wielkiego miksera, by wymieszać ich i oddać rodzicom kubek szaroróżowej papki². Noszenie ubrań w kolorach o dużym nasyceniu było niedopuszczalne, a szkolna legenda głosiła, że kiedyś pewna uczennica została wydalona, ponieważ miała zbyt niebieskie oczy. Zachariasz nie miał łatwo, jednak nie dawał się złamać pedagogom. Tak mu się wydawało.

Wydawało mu się aż do dnia, kiedy każdy trąbił (z naleźycie udawanym zapalem) o tym, co rząd postanowił. Jakby to ujął Henryk Sągiewka, repor-

¹ Każdy jest inny i powoduje to, że każdy jest taki sam, czyli „inny niż wszyscy”, trudno więc stwierdzić czy Zachariasz był inni niż wszyscy, taki jak każdy, każdy niż inny, czy wszyscy jak taki. A może był po prostu inny jak każdy. Inny jak każdy...

² Oczywiście nie dosłownie. Gdyby była mowa o szkole, która dosłownie praktykuje takie zwyczaje, to mówiłbym o Powszechnej Szkole Obróbki Ciała Ludzkiego, w której to uczniowie, którzy nie zdadzą egzaminów wstępnych, zostają podawani pod postacią koktajli tym, którzy otrzymali najwyższe stopnie.

ter w Uznanej Stacji Telewizyjnej, która swoją renomę budowała na prawdzie i bezstronności:

-Ustawa ta hamuje wszelkie, wychodzące poza normę, zachowania związane z radością, szczęściem, satysfakcją, zadowoleniem i tym podobnym. Wszelkie przejawy podekscytowania będą spotykały się z karami porównywalnymi do tych wymierzanych za morderstwa. Dodatkowo zaszły zmiany w polszczyźnie. W mowie wzorcowej zdanie „Ala ma kota” od teraz będzie brzmiało „O Boże, Ala znów ma tego głupiego kota, rany!” Jak wprowadzona przez władzę kultura narzekania wpłynie na nasze życia? Tego jeszcze nie wiemy. Mówił do was Henryk Sągiewka, US TV, do zobaczenia.

To złamało Zachariasza. No, może nie tak od razu. Musiał się przekonać, co w praktyce oznaczają te zawile sformułowane słowa ustawy, które między wierszami przekazują tyle frustracji i zarzutów skierowanych do czytelnika, że tylko niewielka ich grupa (a byli to nieźli twardziele, którzy nie bali się takiego psa ani “Obecności”) zdołała powstrzymać się od łez. Zachariasz doznał szoku podczas czytania listy obecności na lekcji języka polskiego. „Zachariasz Bagienny - Obecny” - od tego się zawsze zaczynało. Po tym miał chwilę na beztroskie rozmyślanie.

-Abba Donatella-Szczypior - Obecna.

To zabawne - myślał - żeby nie było nieporozumień rasowych, wyciągnięto wypadkową z jej obu nazwisk i jej numer w dzienniku to jedenaście i pół. Gdzieś pomiędzy Leopoldem Koburgiem (na którego wszyscy mówią Cyborg) z numerkiem jedenaście, a Anną Lobotomicą (którą na początku pierwszej klasy zniknęła na jakiś czas ze szkoły, chociaż nikt nie wie, dlaczego. Krążą plotki, że miało to związek ze szpitalem) z numerkiem dwanaście.

-Weronika Obecność.

-Nieobecna.

-To wpisuję Obecności nieobecność.

Jeżeli obecność (nie Weronika Obecność, czy “Obecność” - po prostu obecność) jest nieobecna, to jest nieobecność. Przeciwnieństwo obecności, jej brak, czyli nieobecność - proste. Obecność obecności to obecność, jeszcze prostsze. Ale jeżeli nieobecność jest obecna, to mamy do czynienia z obecnością, czy nieobecnością? Albo gdy mamy nieobecność nieobecności, to mamy nieobecność, czy przeciwieństwo nieobecności, jej brak, czyli obecność? A może

wtedy mamy obecność nieobecności obecności tej nieobecności? Czy życie...

-Zachariasz Bagienny po raz piąty, Zachariasz Bagienny po raz szósty...

-Obecny!

-Już nie sprawdzamy listy od piętnastu minut Zachariasz. Przyznawaj się, o czym tak rozmyślałeś?

-O... O obecności...

-O "Obecności" ?

-Nie, o obecności...

-O Obecności? Weroniko, czy to prawda?

-Właściwie to...

-To jest niedorzeczne. Jesteście tak młodzi!

-Ale ja nie wiem...

-Nie o tym...

-Nie chcę tego słuchać!

-Nie o Weronice!

-O co mnie pani oskarża?

-Do dyrektora!

Wszystko działo się tak szybko, że trudno (nawet takiej omniscjencji, jaką jest narrator) jest stwierdzić, kto co wykrzyczał w tej bitwie słownej. Znamy natomiast zwyciężczynię, którą była nauczycielka. Dalej tej sprawy lepiej nie ciągnąć (choćby wyjawię, że Weronikę przeniesiono do innej klasy, żeby „za często o sobie nie myśleli”). Po tym zdarzeniu Zachariasz przestał myśleć w szkole. W domu myślał i stworzył bloga, w którym krytykował narzekanie. Ludzie pod jego wpisami narzekali na nie. Nie był pewien, czy nie podobały im się, czy w ten sposób wyrażali swoje uznanie. Niedługo później zamknął stronę. Był załamany.

W tych chwilach myślał o słowach mamy. „Mam to po ojcu.” „Tylko co mi z tego? Nawet go nie znam, więc po co mi to wiedzieć?” Niestety Zachariasz zadawał wciąż złe pytania. Powinien raczej zapytać „Dlaczego w następnym tygodniu mam wycieczkę szkolną do galerii sztuki, jeżeli na lekcjach plastyki w szkole trzeba rysować za pomocą linijki?”

Wielu przyzna, że wiele szkół nie ma wiele wspólnego z szeroko pojętą kreatywnością. Szczególnie szkoły po TEJ reformie. Kładą nacisk, na (nie zawsze) warte kładzenia na nie nacisku, rzeczy. Im więcej będziesz się kuł matmy, tym więcej będziesz zarabiał w przyszłości. Im ładniejszy, im bar-

dziej wyprasowany mundurek będziesz nosił do szkoły, tym lepszym człowiekiem będziesz. Im częściej będziesz zmieniał buty do szkoły, tym dłużej będą żyły osoby, które kochasz.

Chociaż może to nie jest wina szkół? Może to społeczeństwo, które wymusza na nas bycie poważnymi ludźmi bez uczuć. Nie lubimy „inności”, chociaż każdy jest inny, „inny jak każdy”, jak rzekł pewien mądry narrator³. Kiedy widzimy osobę o zbyt żółtym ubraniu, myślimy „co za dziwak”, kiedy widzimy osobę, która z entuzjazmem i szczerą pasją, opowiada o zmianach na mapie politycznej świata w ostatnich czasach, myślimy „co za dziwak”, kiedy widzimy czteroosobową grupę dzieciaków, które odgrywają sceny z „Obecności”, myślimy, „co za dziwaki”, nawet jeśli wczoraj, w drodze do teatru, cali ubrani na zielono, opowiadaliśmy zażarcie o gipsie i wapieniu (i o związanych z nimi procesach chemicznych).

Jesteśmy okrutni.

Może Zachariasz nie mógł się z tym pogodzić, dlatego upierał się przez tyle lat. Miał to po ojcu. Nie mógł słuchać, że Lewy powinien to strzelić ani że to wina Tuska, ani że znów mam tyle zadane, ani że znów się nie nauczyliście, ani że zupa za słona, ani że...

Do tej pory żałuję, że pękł.

Trudno jest wskazać konkretną sytuację, kiedy to się stało, on się po prostu wykrwawiał, aż usechł kompletnie i dołączył do pomarszczonego, związanego ładną wstążką, bukietu absolwentów, które dyrektor szkoły, w geście samozadowolenia, stawiał sobiena biurku. Oczywiście nie winię za to szkoły. Każdy jest winny. Pomyśleć tylko... Każdy jest inny. Każdy jest winny. Inny jak każdy. Winny jak każdy.

-Czy wywiesiłaby pani w swoim domu plakaty zespołu, którego nie lubi pani albo zdjęcia miasta, do którego nigdy nie chciałaby pani pojechać?

-Co ty wygadujesz?

-To w jakim celu nazywamy szkoły, ulice nazwiskami artystów, jeśli odbieracie nam możliwość bycia tacy, jak oni? - błądy, wpatrywał się ze złością prosto w oczy pani od języka polskiego - to wszystko, ten cały świat - wstał na ławkę, lekko się zataczając - jest kłamstwem.

-Złaż stamtąd natychmiast! pani Porzecka pierwszy raz się bała. Po dwóch latach nauczania Zachariasza, czuła strach. Współczuła mu. Szczególnie, gdy

³ Mowa o mnie.

chwilę później wylądował nieprzytomny na ziemi. Pani Porzecka martwiła się o niego. Podbiegła do niego, próbowała ocucić, wysłała Leopolda po pielęgniarkę. Mimo że przez te dwa lata sprowadzała Zachariasza na ziemię, traktowała go jak niesfornego syna, który potrzebuje dyscypliny, nie miała złych intencji.

Był to ostatni wybryk Zachariasza w XLVII Liceum im. Jana Matejki. Był to koniec jego strajku głodowego, po którym zaliczył upadek prosto do szpitala. Był to koniec tego, co miał po ojcu. Był to początek smutnej historii Bagiennego, tej, w której wybiera się na studia medyczne, udaje się na praktyki do szpitala w rodzinnym mieście, wyprowadza się za granicę, rozpoczyna pracę w nowoczesnym szpitalu. Zapomina o życiu i pracuje bez przerwy, aż do swoich trzydziestych urodzin, kiedy to na nocnej, wyjątkowo spokojnej, zmianie, oglądał telewizję. Włączył wiadomości i zobaczył, jak Juliusz Bagienny wychodzi z rakiety, która właśnie wylądowała po trzydziestoletniej wyprawie na Proximę Centauri. Dziś kończył się jego wyrok. Czy to nie przypadek...

-To przecież mój ojciec! - wybiegł ze szpitala, po drodze dzwoniąc do mamy. Wsiadł do samochodu. Nie miał roamingu. Przez tyle lat z nią nie rozmawiał, „Czy ona w ogóle żyje?!”

“Co ja narobiłem?!”

Zachariasz nigdy nie czuł się tak potwornie. Został jednym z nich. Jednym z tych, których się brzydził. Co się stało? Czemu w zdaniu „Winny jak każdy” nie uwzględniał siebie? Winny jak każdy, jak Zachariasz Bagienny, jak Juliusz Bagienny, jak Wanda Bagienna, jak Gorzata Porzecka, jak Henryk Stągiewka, jak Abba Donatella-Szczypior, jak Weronika Obecność, jak Leopold Koburg, jak Anna Lobotomicka, jak ta osoba w zbyt żółtym ubraniu, jak Lewy, który nie trafił bramki, jak Jan Matejko, jak dyrektor Powszechnej Szkoły Obróbki Ciała Ludzkiego, jak zespół z plakatu w twoim pokoju, którego nie lubisz, jak narrator tego opowiadania, jak Ty.

Może nie powinienem, ale dodam, że Zachariasz powrócił na „Rodzinną planetę” po piętnastu godzinach. Sam musisz się przekonać, co się stało z nim później. Może nigdy nie wrócił do domu. Może nigdy go nie opuścił. Sam zdecyduj⁴.

⁴ Oczywiście w swoim własnym życiu, nie bazgraj mi po opowiadaniu. Nie po to je pisałem, by ktokolwiek mi przeprawiał fabułę i cały jej sens. Zajmij się sobą. Nie wiem, wyjdź na dwór, zrób coś, czego zawsze się bałeś, otwórz oczy. Wybierz sobie.



Zuzanna Dziubek
(godło: Nikotyňa)

**I Liceum Ogólnokształcące im. J. Dąbrowskiego
w Tomaszowie Mazowieckim**

Pani zza zielonych drzwi

Ktoś narzygał w rogu - ironiczny uśmiech pojawił się na pomarszczonej twarzy kobiety stojącej w zielonych drzwiach.

Słowa te wywołały bolesny grymas na skacowanym obliczu Anki. Bez zbędnej dyskusji chwyciła wyciągnięty w jej stronę mop i profesjonalnie, tak jakby to właśnie tym zajmowała się całe życie, wyszorowała brudną posadzkę.

- Kawy? - propozycja była bardzo kusząca dla dziewczyny, podejrzliwie oglądającej brudnego mopa zwisającego tuż koło jej stóp.

Po przekroczeniu progu od razu uderzył ją duszący zapach dymu papierosowego i kadzidełek, nasilenie jednego bądź drugiego zmieniało się w zależność od miejsca, w którym się przebywało. Rzucając się na obszerną kanapę, przykrytą kolorową kapą, trąciła trampkiem potężną donicę ze starym figowcem. Zachwiał się on niebezpiecznie, ale posłusznie wrócił na miejsce. W mieszankę zapachów wdarł się aromat zaparzonej kawy, tu smakowała najlepiej na świecie. W lewej ręce poczuła gorącą filiżankę, a w uchylonych ustach papierosa. Uśmiechnęła się wdzięcznie do kobiety stojącej nad nią, ale w zamian usłyszała ostre parsknięcie. Staruszka nie należała do najłagodniejszych. W jej brązowych, pomarszczonych oczach mało kto mógł zobaczyć uznanie lub sympatię. Ale Anka widziała małe migoczące iskierki w lewym rogu. Kobieta usiadła w dużym, fioletowym fotelu, a u jej stóp położył się puchaty spaniel. I tak sobie siedziały, paląc mentolowe marlboro i spijając marokańską kawę. Dziewczyna rozejrzała się po dużym, niebieskim salonie. Mieszkania w starych kamienicach miały ten niepowtarzalny urok, że nawet, gdy wszystkie meble i kolory były przypadkowe, to tworzyły magiczną całość. Musztardowe zasłony, wiszące tu od zawsze, wpuszczały po-

marańcowe snopy światła. Książki, poukładane aż pod sufit, chwaliły się swoimi przedwojennymi nagłówkami. Porozrzucane w przypadkowej kolejności na potężnych ścianach zdjęcia, rysunki, mapy i dziwne maski, przyciągały wzrok jak magnes. Cały ten bałagan był hipnotyzujący.

- Udało się wczoraj? Był ten twój? - kobieta ziewnęła, przeciągając się w fotelu.

- Który? - parsknęła śmiechem, przechylając filiżankę.

- Ten z wtorku.

- Był - strumyk kawy spłynął po brodzie Anki, kapiąc powolutku na jej sweter.

- Mam nadzieję, że to nie on zdewastował korytarz.

- Nie, ten mój zdewastował Kingę – bezskutecznie próbowała wyssać kawę ze swetra.

- Może powinnam umówić cię z moim wnukiem? - w jej głosie można było usłyszeć nutkę litości.

- Wiesz chociaż jak on wygląda? - po płamie prawie nie było śladu.

Staruszka zaśmiała się perliście i kopnęła dziewczynę zadziornie w stopę. Nie była zbyt rodzinna. Dwa nieudane małżeństwa i prawie zerowy kontakt z własnym dzieckiem przyjmowała ze stoickim spokojem. W ciągu całego swojego życia zdążyła poznać zbyt wielu ludzi. Zbyt wielu, by nadal ich lubić. Kochała za to podróże. Samotne, wymagające od niej całkowitej samodzielności i niezależności. Bo taka właśnie była, nie potrzebowała nikogo.

Dziewczyna wstała gwałtownie, a stara kanapa zaskrzypiała. Dmuchnęła w równiutką, ciemną grzywkę i potargała, sięgające kącików ust, włosy.

- Lecę do szkoły - korzystając z nieuwagi dała kobiecie soczystego buziaka w błądy policzek.

Chwilę potem biegła już szarym chodnikiem, widocznym z okna kamienicy.

- Myślisz, że mogę zostać prostytutką? Do tego chyba nie potrzebuję matury.

Pukanie nie było jednym z nawyków dziewczyny. Zdejmując po drodze ubłocone trampki i rzucając plecak w stronę stojącego na drodze figowca, zamaszycie usiadła na podłodze. Zaraz też, jak cień, pojawił się koło niej pies.

- Może najpierw zapalisz?- leżąca na kanapie staruszka wyciągnęła w jej

kierunku paczkę papierosów.

Anka z chmurną miną, odpaliła jednego. Pies skrzywił się, kichnął i łypiąc spode łba, położył się na podłodze.

- Pluję na to wszystko, na nich wszystkich - z kanapy dobiegło parsknięcie - No co? Ty miałaś dobre oceny?

- Nie, ale byłam ładna - z ust kobiety wyleciały dymne kółka - Kiedyś było inaczej. Zresztą, czego się spodziewasz? Siedzisz tu od rana do wieczora.

- N...Film? - dziewczyna przemilczała jej słowa.

- Włącz coś. Mam ochotę na thriller - kiwnęła głową, nie zamierzała jej matkować.

Długa, pomarańczowa spódnica zamiatała kurz z balkonu, na parterze. Bransoletki na jej nadgarstkach dźwięcznie obijały się o siebie, gdy podlewała kwiatki w oknie. Popiół z papierosa, trzymanego w ustach, wpadł do jednej z doniczek. Opierając się o mosiężną barierkę, uważnie wpatrywała się w obściskującą się po drugiej stronie ulicy parę. Kręcąc głową, wyrzuciła niedopałek, by po chwili usłyszeć ciężkie skrzywienie jej zielonych drzwi.

- Znowu? - jej brwi uniosły się szyderczo.

- Ma dziewczynę - papieros w jej zębach już się tlił.

- Tak jak kilku poprzednich - odparła spokojnym głosem, otwierając gazetę - Wstaw wodę.

- Jestem samotna jak cholera - dziewczyna uśmiechnęła się kwaśno i zmarszczyła brwi, włączając czajnik.

- To kup sobie psa - czajnik wydał z siebie długi przeciągły gwizd.

Zmierzchało i pomarańczowe zasłony wpuszczały coraz mniej światła. Pałace się gdzieniegdzie świece rysowały fantazyjne cienie. Przyjemny półmrok otaczał dwie, zajmujące kolorową kanapę osoby. Jedyne ich twarze migotały w świetle przeskakujących obrazów telewizora. Obie kobiety, synchronicznie wręcz, zaciągały się papierosem, wpatrzone w ekran.

- Czuję, że zmarnowałam trzy godziny życia - parsknęła młodsza, prze-

ciągnąc się i włączając mozaikową lampę.

- Codziennie je tu marnujesz - westchnęła starsza, zbierając kubki z wyłożonego kafelkami stolika.

- Co? Chcesz mi nagle matkować? - parsknęła śmiechem.

- Po prostu nic nie robisz. Nie masz żadnego celu? Co chcesz ze sobą zrobić w przyszłości? - woda w kranie szumiała ponuro.

- O czym ty mówisz? - jęknęła - Nie wiem nawet, czy dożyję jutra.

Kubki stukały o siebie cicho

- Ale, jeśli już mam wybierać to...Chcę być taka jak ty - wyszczerzyła zęby, przewieszając się przez oparcie kanapy.

- Jak ja? – staruszka, marszcząc brwi, zakręciła kran.

- Mhm...Odważna i niezależna. Chcę żyć tak, żeby nikogo nie potrzebować - rozmarzonym wzrokiem rozglądała się po zdjęciach z licznych podróży wiszących na ścianie.

- Jesteś idiotką, ciężką idiotką - powiedziała rozsuwając zasłony - Jak ja... - parsknęła śmiechem - Chcesz całe życie myśleć tylko o własnej dupie?- zwilżając językiem palce, zgasła pierwszą ze świec - Chcesz ciągle wmawiać sobie, że ludzie wokół cię nie rozumieją, że jesteś lepsza od nich? Podróżować, poznawać i kochać, nie wiedząc nawet po co? - kolejna ze świeczek zgasła.

- A w końcu uświadomić sobie, że zmarnowałaś tyle czasu, goniąc za czymś, co zgubiłaś tak dawno. W tym samym momencie, gdy stwierdziłaś, że jedyne, co będziesz robić, to oczekiwać czegoś od innych? - Jej oczy szklily się w płomieniu ostatniej świeczki. - Wiesz, ile osób tym zraniłam? Ile straciłam? Młodość. To nie wróci. Decyzje, które podejmujesz teraz, definiują to, kim będziesz kiedyś. Teraz jest czas, żeby popełniać błędy i naprawiać je niezliczoną ilość razy. Bo masz czas. Ale jesteś cholernym tchórzem. Boisz się wziąć odpowiedzialność za siebie, za swoje wybory. Czekasz tylko aż wszystko ułoży się samo. Zrobiłabym wszystko, żeby mieć to, co ty.

- Ja...Mam swój rozum. - Dziewczyna dukała, patrząc w szoku na staruszkę.

- Tak myślisz? To dlaczego spędzasz tu tyle czasu? Siedzisz tu ciągle, narzekając na oceny i nauczycieli, ale nigdy nie widziałam, jak się uczysz. Zawsze przychodzisz tutaj, marnując czas, w którym mogłabyś to robić. Jojczysz, że chłopak, który ci się podoba ma inną, ale zamiast szczerze wyznać mu uczucia i pokazać, ile jesteś warta, zaliczasz po kolei wszystkich jego kolegów. To wszystko...robisz wszystko, żeby skończyć tak żałośnie jak ja - wes-

tchnęła- Wiesz o czym marzę? Że do domu będzie codziennie odprowadzał cię ten sam chłopak, że spojrzysz na mnie stojącą w oknie i że chwilę później nie usłyszę tego cholernego skrzypienia drzwi. - Podeszła do mającej lzy w oczach Anki - Zrób coś. Nie możesz siedzieć tu i starzeć się ze mną. - W jej oczach nigdy nie było tyle ciepła...

Starsza kobieta stała w oknie, popijając kawę. W jej prawej dłoni samotnie sterczał papieros. Mosiężna konewka odbijała pomarańczowe promienie słońca. Brązowe, przykryte zmarszczkami, oczy bacznie obserwowały parę po drugiej stronie ulicy. Nigdy nie widziała na twarzy dziewczyny wyrazu takiej czułości, jak wtedy, gdy rumiany dryblas niepewnie owinął jej szyję swoim szalikiem. Nigdy nie widziała, żeby jakikolwiek z tych poprzednich, patrzył na nią w ten sposób. Dziewczyna, machając mu, podeszła do otwartego szeroko okna.

- Przystojny - skwitowała z zadziornym uśmiechem.

- A czego się po mnie spodziewałaś? - perlisty śmiech wyrwał się zza jej białych zębów.

- Papierosa? - spytała, chwytając wargami jednego z wysuniętych i wyciągając paczkę w kierunku Anki.

- Rzuciłam - mrugnęła, odwróciła się na pięcie i zniknęła w drzwiach kamienicy.

A zielone drzwi nie zaskrzypiały.



Martyna Juszcak
(godło: Coffee)

**Liceum Ogólnokształcące „Thomas”
w Tomaszowie Mazowieckim**

Klucz

Z pokoju, znajdującego się na końcu korytarza, rozległ się przeraźliwy krzyk małej dziewczynki. Dziecko przez długi czas zanosilo się płaczem. Biegało po pokoju to w lewą, to w prawą jego część, szukając bardzo cennej dla siebie rzeczy.

- Gdzie jest mój kluczyk?! Nie mogłam go zgubić! To niemożliwe! – krzyczała dziewczynka, zalewając się łzami. Czołgając się po podłodze, znalazła się przy swoim łóżku. Spojrzała pod nie w nadziei, że znajdzie tam swój skarb. Niestety nic nie widziała. Nie miała też niczego, co pomogłoby jej rozjaśnić ciemność, jaka panowała pod łóżkiem. Obmacując po omacku każdy kawałek zakurzonej podłogi, w końcu natrafiła na coś, co kształtem zgadzało się z jej zgubą. Uradowana podniosła szukany przez siebie kluczyk i mocno przycisnęła go do siebie.

- Mam cię! A teraz pokaż mi drzwi do Glitter Town!

Nagle przed dziewczynką ukazały się ogromne wrota, które mogą zostać otwarte tylko za pomocą specjalnego klucza. Nie mogąc się doczekać, kiedy w końcu znajdzie się po drugiej stronie wrót, od razu je otworzyła. Weszła do środka i znów poczuła, że jest szczęśliwa. Rozglądała się na wszystkie strony, by podziwiać świat, który był jej bardzo bliski, i który kochała. Po raz kolejny otaczały ją ogromne magiczne drzewa, świecące grzyby, a w powietrzu unosił się brokatowy pył. Korony drzew zasłaniały wysoko słońce, lecz nawet to nie sprawiło, że w lesie było ciemno. Latające świetliki i magiczna roślinność znakomicie rozjaśniały cały las i dodawały mu uroku. Dziewczynka, rozglądając się nadal, biegła do małej chatki na pagórku, którą jak wszystko w tym świecie, знаła doskonale. Jej oczy znów błyszczały i mieniły się radością.

Dziecko dotarło do chatki i zapukało trzykrotnie. Drzwi otworzyła jej grupa małych elfów. Wszyscy, zszokowani jej pojawieniem się, nie mogli z sie-

bie nic wykrztusić. Wreszcie zaczęli się mocno przytulać z tęsknoty. Zaprosili ją do środka na mały poczęstunek przy herbacie, aby podzielić się opowieściami o nowych przygodach, jakie ich spotkały podczas nieobecności małej. Rozmawiali godzinami i zajadali się tęczowymi ciasteczkami. Prawie wszyscy, bo Uszek i Wstążek opowiedzieli, co ich spotkało. Na końcu zaczął mówić Kulasek.

- A ja ostatnio poznałem wróżkę! Ale nie taką zwykłą wróżkę, którą wszędzie można tu spotkać. To była wróżka dająca taką moc, jaką tylko zapragniesz! Da się ją odnaleźć o określonej porze. Jest przy Jeziorku Życia z samego rana, a przy Drzewie Zdrowia pod wieczór. Trudno jednak tam dotrzeć na czas. To bardzo daleko i nigdy nie wiadomo, co może nas spotkać w drodze do tych miejsc.

- Pójdźmy do niej! – krzyknęła energicznie dziewczynka. – Też chciałam ją poznać. Może i ja będę mogła dostać jakąś super moc!

Więc wyruszyli w drogę, by poznać niezwykłą wróżkę, o której opowiadał Kulasek. Szli kamienną ścieżką długie godziny. Mała cały czas podziwiała świat, w którym się znalazła. Nie mogła uwierzyć, że znowu może tu być. Przecież tygodniami szukała kluczyka w swoim pokoju. Tęskniła za beztroską panującą w tym miejscu. Tęskniła za przyjaciółmi, którzy byli jej najbliżsi. Nie miała innych przyjaciół, a świat, w którym żyła na co dzień był dla niej zamknięty. To co w nim znała, było dla niej nudne, szare i smutne. Nie chciała być w tamtym miejscu. Jej rozmyślanie i podziwianie świata przerwał nagły postój. Uszek zauważył na drodze ogromnego niedźwiedzia. Uciał sobie drzemkę akurat na środku drogi. Wszyscy go znali i wiedzieli, że nie jest zbyt przyjazną postacią w Glitter Town. Niestety miał też wyjątkowo dobry słuch i prześlizgnięcie się obok niego to nie lada wyzwanie. Konfrontacja ze śpiochem mogłaby nie skończyć się dobrze, a czas gonił małą grupkę. Wszyscy bardzo chcieli poznać wróżkę, która daje moce. Nikt z nich o takiej postaci nawet nie słyszał. Dziewczynka wpadła na pomysł zaśpiewania niedźwiedziowi piosenki, która utrzyma go w stanie snu. Wiedziała, że elfy znają mnóstwo piosenek. W dodatku niektóre z nich miały niezwykle działania. Liczyła, że Uszek, który zna ich najwięcej, zaradzi na ich śpiącą przeszkodę. Nie myliła się. Jednak głos elfa także ich uśpił. Obudzeni po krótkiej drzemce siedzieli pod drzewem i dumali. Byli już całkiem zrezygnowani, ponieważ

czasu było coraz mniej. Ich nadzieję przywrócił Wstążek, który przypomniał sobie, że miejscowa czarodziejka, do której zawsze chodzi, by dekorować jej szaty, jako zapłatę dała mu proszek umożliwiający latanie. Oddalając się na bezpieczną odległość, by niedźwiedź nie odleciał wraz z nimi, Wstążek sypnął na wszystkich proszkiem i nagle ich ciała zaczęły się unosić. Nietrudno im było zapanować nad umiejętnością latania. Przelecieli nad niebezpieczeństwem i ruszyli w dalszą drogę. Ta była już w pełni spokojna. Wreszcie dotarli do Drzewa Zdrowia. Zaczęli szukać wróżki. Nagle dziewczynka zobaczyła małe drzewiczki w drzewie. Postanowili wejść do środka.

Pomieszczenie pachniało grzybami, ziołami i żywicą. Wszędzie wisiły lampiony z świetlikami, mimo świecącej się kory drzewa. Elfy ujrzały schody na górę i zawołały małą. Zza poręczy zaczęła wyłaniać się wróżka, której tak długo szukali. Ujrzała dziewczynkę i od razu do niej podleciała.

- Witaj Aurelio. Wiedziałam, że mnie szukasz. Czekałam na ciebie. Mam to, czego pragniesz. podała jej garść maleńkich jeżyn. – Lecz nie gryź ich. Musisz je popić sokiem z Drzewa Zdrowia, pomyśl wtedy, jaką moc chciałaś uzyskać, a twoje życzenie się spełni.

Dziewczynka zrobiła tak, jak kazała jej wróżka. Była szczęśliwa. Liczyła, że będzie mogła zostać tu już na zawsze. Niestety zamiast dostać moc, jakiej sobie życzyła, poczuła, że kręci jej się w głowie. Pomieszczenie wydrążone w drzewie przemieniało się w zwykły biały pokój. Wróżka zmieniła się w człowieka. Dziewczynka przetarła oczy, bo nie mogła uwierzyć, że wszystko zaczęło znikać.

- Ładnie połknęłaś te leki, ale czeka cię jeszcze jedna porcja Aurelio. No już, weź i popij tak jak przed chwilą i otwórz buzię.

Mała zaczęła słyszeć cichy płacz swojej matki. Rozejrzała się i zobaczyła, że ta patrzy na nią przez niewielką szybkę w drzwiach. Las, w którym była, zniknął. Znów wróciła do przerażająco białego pokoju. W rękę zamiast klucza trzymała gumowego gniotka. Spojrzała się w oczy pielęgniarki, która podała jej leki.

- To przez ciebie, to zniknęło...

- Nie wiem, o czym mówisz mała. Tu nic nie zniknęło.

Dziewczynka odwróciła się i odeszła na chwilę. Usłyszała tylko jak pielęgniarka wzywa kolejnych pracowników. Wiedziała, że nie może się poddać, bo inaczej nie zobaczy więcej Glitter Town. Mała zaczęła krzyczeć i zanosić

się płaczem. Rzuciła się po pokoju, nie mogąc się uspokoić. Do środka weszli pielęgniarze, którzy zmusili ją do przyjęcia kolejnej dawki leków i podali jej środki uspokajające. Wyszli z pokoju, zostawiając ją zapłakaną. Dziewczynka wciąż krzyczała.

- GDZIE JEST MÓJ KLUCZYK?! Oddajcie mi go! Wiem, że go zabraliście!

Jeszcze przez godzinę z pokoju na końcu korytarza słychać było krzyki i straszliwy płacz. Gdy leki uspokajające wygrały, dziewczynka usnęła, by następnego dnia przeżyć znów to samo.



Oliwia Doszczak

(godło: Isleen)

**II Liceum Ogólnokształcące im. S. Żeromskiego
w Tomaszowie Mazowieckim**

Przyspieszone tętna, mieszające się ze sobą oddechy dwóch splecionych ciał, tworzące cudowną symfonię. Obejmujący się szczelnie, idealnie do siebie dopasowani. Temperatura rośnie od ogarniającego nas uniesienia i buzującej w naszych żyłach adrenaliny. Czuję, jak włoski na moim ciele, pod wpływem spowodowanej lekkim niepokojem gęsiej skórki, stają dęba, drażniąc jego skórę. Ta chwila, mimo bezruchu, w jakim się znajdowaliśmy, była jedną z bardziej dynamicznych i podniecających w moim życiu. Kiedy tak trwaliśmy w gorącym uścisku i mogłem poczuć intensywnie, jakim specyfikiem Gabriel umył się wczoraj wieczorem pod prysznicem, ktoś z tyłu rzucił jedynie: „Gotowe!” i... spadliśmy.

Ale od początku.

- Skok na bungee? - powtórzyłem za czarnowłosym, ale okazało się, że w moich ustach nie zabrzmiało to pewnie. - No nie wiem... Nie możemy iść do kina? Nawet na jakiś horror - będzie bezpieczniej...

- Nie żartuj! Będzie super, zobaczysz. Znudziło mi się chodzenie do kawiarni i gadanie o jakiś bzdetach. Bez urazy, ale im częściej robimy sobie takie pogawędki, tym dziwniejsze rzeczy zaczynasz gadać. Założę się, że już skończyły ci się tematy. Zróbmy raz coś fajnego. Mam ci przypomnieć, co mi ostatnio mówiłeś? „Zaskocz mnie!” No to masz. Nie dziękuj - cmoknął w moim kierunku.

- Będzie nas przypinał mój kumpel - dopowiedział szybko, jakby ta informacja miała mi w jakiś sposób dodać otuchy.

- Ty masz kumpli wszędzie - westchnąłem ciężko.- Jeśli tak bardzo chcesz, to możesz z nimi skakać - mruknąłem. Wolałbym jednak dożyć do momentu, w którym powiem mu, co czuję, a śmierć w ten weekend jakoś niespecjalnie wydłuży mi czas na zrobienie tego.

- No weź Kornel. Jak pękasz, to skoczę z Tobą -kontynuował, klepiąc mnie po ramieniu.To była iskra, na którą czekałem.

- Okej, zgoda - uśmiechnąłem się, a on zamrugał zdziwiony.

- ...Serio? Nie chcesz przeliczyć sobie, czy jeśli skoczmy razem nie będziemy ważyć za dużo, czy lina nie pęknie? Nic? – zapytał, patrząc na mnie podejrzliwie. Szczerze mówiąc to był duży błąd zgodzić się tak... po prostu. Nie przemyślałem tego, ale skoro już zacząłem, to muszę brnąć w to dalej. Bądź naturalny.

- Nope - pokręciłem głową. - Skoczę, ale z Tobą - ZA Tobą też bym w sumie skoczył...

- No to... mamy deal - powiedział, lekko wzruszając przy tym ramionami. Jego wyraz twarzy mówił: „Trochę ci nie wierzę, ale skoro tak, to niech będzie.” - Potem pójdziemy do mnie. Starzy gdzieś tam sobie wczoraj pojechali, ale matka zostawiła mi tę tartę, którą chciałeś. Tę zaległą, za ostatnią paczkę - to brzmiało dodatkowo zachęcająco. Ale znając jego rodzicieli...

- A w ogóle co na to twoi rodzice? Mówiłeś kiedyś, że nie możesz przyjmować gości.

- Nie, nie. Tata mówił: „żadnych dziewczyn w twoim pokoju do 20 roku życia”!

O chłopakach nic nie wspominał, więc zluźnij - machnął ręką. Już lubię tego jego tatę.

- Super. No to jesteśmy umówieni – rzuciłem, podnosząc się w końcu z ławki. - Muszę już iść, mam dzisiaj dyżur w bibliotece.

- Okej kujonie. To do soboty - Gabriel pożegnał się ze mną i tyle go w tym dniu widziałem.

Nasza sytuacja miała się następująco: on - ze względu na to, że był za młody o te kilka, tak wyjątkowo istotnych dla niego miesięcy, postanowił zrobić sobie ze mnie użytek, prosząc o cotygodniowe kupowanie mu paczki papierosów. Nie miał tym samym kompletnie pojęcia, że dla mnie było to niczym wygrana w pokera z moją babcią - a skubana zawsze oszukuje. Umowa była prosta: ja załatwiam mu fajki, on kasuje sobie z kalendarza wszystkie sobotnie plany i stawia sobie tam soczystą pieczętkę z moim imieniem, z serduszkami zamiast „o”. Tak to sobie przynajmniej wyobrażałem.

To nie tak, że chciałem „wspierać go” w nałogu. To było jedynie samolubne wykorzystanie sytuacji, a takie okazje nie zdarzają się często. Przykre i mało dojrzałe z mojej strony, ale przecież nie mogłem powiedzieć mu tak wprost, że mi się podoba, jeśli znamy się praktycznie od kilku tygodni, pod-

czas gdy wcześniej Gabriel wiedział tylko, że chodzę z nim do klasy i mam na imię Kornel. Poza tym obaj jesteśmy chłopakami. Musiałem jakoś delikatnie go podejść, zbadać grunt... Niestety, mimo iż trwaliśmy w tej symbiozie już dobry miesiąc, wszystkie wysyłane przeze mnie w jego kierunku sygnały, jakby na ostatniej prostej nabierały prędkości, by ostatecznie wejść w poślizg i trafić do próżni.

Teraz będzie inaczej! Wezmę się w garść i... jeszcze przemyślę, co zrobię.

Tak oto wracamy do punktu wyjścia: ja, on, lina, most kilkadziesiąt metrów nad wodą i plan do zrealizowania, który układałem w głowie, od chwili umówienia się na to spotkanie.

- Okej... Gab już to wcześniej robił, więc jemu raczej nie muszę tłumaczyć - zagadnął nas kolega czarnowłosego, jak udało mi się wcześniej usłyszeć, Kamil, kiedy obaj byliśmy już zabezpieczeni, wyrывая mnie z błęgiego zatracenia w bliskości z Gabrielem. Dlatego tak nie lubię jego kumpli. - Przed skokiem opróżniliście kieszenie, nie macie biżuterii, więc tę kwestię pomijamy... to chyba wszystko. Gotowe! Nie puście się tylko i będzie okej. Lina raczej da radę, miłego! - rzucił na koniec, a źrenice w moich oczach się rozszerzyły, jakbym właśnie zażył jakąś substancję psychoaktywną. Jak to raczej?!

Nie było jednak czasu na złożenie rezygnacji czy protestowanie. Gabriel odepchnął się od barierki mostu i obaj zaczęliśmy spadać w dół. W ciągu tej jednej chwili zapomniałem o Bożym świecie i zająłem się tylko lekkością, jaka ogarnęła mnie w locie oraz towarzystwem chłopaka frunącego ze mną. Nawet nie zwróciłem uwagi, że linie jakby nie było końca. Szarpnięcie nastąpiło zdecydowanie za późno. Obciążona lina rozciągnęła się tak, że obaj zdążyliśmy do połowy zanurzyć się w wodzie, do której jeszcze moment temu było tak daleko. Przez pierwszą chwilę nie wiedziałem, co się w ogóle stało, do rzeczywistości przywrócił mnie dopiero krzyk wkurzonego Gabriela.

- Kamil, ty idioto! - zaczął wyzywać kumpla na górze, dopiero po chwili przypominając sobie, że nie skakał sam. - Jezu, Kornel żyjesz? - zapytał mnie zaraz. Jego twarz była tak blisko mojej, że na moment zaniemówiłem, zapominając, o co pytał.

- Co? - odezwał się, chcąc by powtórzył, ale on westchnął jedynie jakby z ulgą...

- W życiu bym za coś takiego nie zapłacił! - awanturował się mój towarzysz, gdy powróciliśmy na most, a ja starałem się wykręcić jak najwięcej

wody ze swojej przemoczonej bluzy. Pogoda na skok była świetna, ale na pływanie w rzece już niekoniecznie. Wiatr, który zerwał się niedawno wcale nie sprawiał, że robiło mi się lepiej, a wręcz przeciwnie.

- Przecież nie płaciliście! - kłócił się Kamil.

- Co nie zmienia faktu, że i tak bym za coś takiego nie zapłacił!

- Jaka cena, taka jakość - mruknął pracujący chłopak, na co Gabriel przyłożył mu w łeb.

- Ej, ej starczy! - odciągnąłem wyzszeego, bo planowałem zamachnąć się jeszcze raz. - Gdybyś się tak nie wkurzał, to myślałbym, że tak miało być! - zaśmiałem się, żeby rozluźnić atmosferę. - Daj już spokój, było fajnie.

- ...Żartujesz? - zapytał zerkając na mnie i szcękając zębami.

- Nie utopiliśmy się, więc wyluzuj – powiedziałem, kładąc mu rękę na ramieniu.

- Okej... - poddał się w końcu. – Zresztą, to ty chciałeś skakać we dwóch - mruknął jakby z wyrzutem, by uśmiechnąć się zaraz. - Zimno mi. Idziemy do mnie na grzane piwo! - oznajmił żywo.

- Co? - zapytałem i zamrugąłem zdziwiony. Mówiłem mu przecież, że nie piję.

- Żartowałem świętoszku - pstryknął mnie w czoło, przy okazji zdejmując ze swojego ramienia moją dłoń, za to samemu obejmując mnie jedną ręką i łapiąc nasze torby. - Chodźmy.

Droga minęła nam całkiem sympatycznie, chociaż obaj trzęśliśmy się jak osiki. Przez dłuższą część drogi Gabriel dalej trzymał mnie przy sobie, zapewne, by obu nam było cieplej. Miałem teraz moment dla siebie, by jeszcze raz dokładnie przemyśleć strategię. Będziemy tam zupełnie sami, a przynajmniej tak mówił wcześniej czarnowłosa, więc nie musiałem się zbytnio obawiać wzroku jakiś gapiów lub że ktoś nam przerwie. Planowałem to w sposób następujący: nawiązać do plakatów w jego pokoju czy do magazynu leżącego na widoku, który przedstawiałby jakąś kobietę... czegokolwiek, co byłoby pretekstem, żeby zagadnąć czy ktoś mu się przypadkiem nie podoba, tak, by wypadło to naturalnie. Oczywiście wiedziałem, że nie ma nikogo na oku, chociaż kilka osób, a raczej konkretnie dziewczyn, posyłało mu czułe westchnienia, kiedy mijał je na korytarzu. Zbyt długo mu się przegłędałem, by nie zauważyć czy on również do kogoś tak wzdycha. Po zapytaniu, czy ktoś mu się podoba logicznym następstwem byłoby odbicie piłeczki

w moim kierunku. I bum! Wyznaję mu uczucia! Eh... żeby tylko było to tak proste, jak w mojej głowie.

- Jesteśmy - rzekł dla formalności, kiedy przekraczaliśmy furtkę i idąc przez chodniczek, dzielący część podwórka przed domem na dwa, równo przystryżone chodniczki, dotarliśmy pod drzwi. Chwilę szukał kluczy po bocznych kieszonkach torby, a gdy już je z niej wygrzebał, sprawnie włożył kawałek metalu do zamka i przekręcił od razu w odpowiednią stronę. Dlaczego w ogóle o tym wspominam? Bo ja zawsze kręcę w złą...

- O mój Boże, jak dobrze – westchnął, zamykając za nami drzwi. W domu nareszcie uwolniliśmy się od tego przekłętego wiatru. - Idź zapal w kominiku. Skoczę na górę po suche ciuchy - powiedział i zanim zdążyłem przytaknąć, on już był u szczytu schodów, prowadzących na piętro. Ja zgodnie z tym, o co poprosił, ruszyłem do salonu, odnajdując tam kominiek już wypełniony drewnem. W torbie Gabriela odnalazłem zapalaki. Był jedyną z osób palących, które znam, używającą ich, a nie zapalniczki. Fenomen... dlatego właśnie tak go lubię.

Pierwsze dwie próby wywołania ognia były nieudane, ale w końcu, z niewielką pomocą rozpalaki, drewno zapaliło się, emitując tak przyjemne ciepło. Odetchnąłem błogo, czując je i położyłem się na dywanie, wstając niemal natychmiast, kiedy mokry, zimny materiał bluzy przykleił się do moich pleców.

- Jeszcze się z tego nie rozebrałeś? - usłyszałem głos za swoimi plecami. Odwróciwszy się, dostrzegłem Gabriela właśnie pozbywającego się koszulki, by się przebrać. Tak się zapatrzyłem, że zapomniałem, że i ja powinienem to zrobić. Niby widywałem go bez górnych partii garderoby za każdym razem, kiedy przebieraliśmy się w szatni przed wf-em czy na zajęciach na pływalni, ale teraz... to było bardziej osobiste. Tylko ja mogłem to widzieć i postanowiłem nacieszyć się tym widokiem, skoro było mi to dane, a było warto popatrzeć. Był moim kompletnym przeciwieństwem. Opalona delikatnie skóra, pod którą wyraźnie rysowały się wypracowane mięśnie, tworząc jego szczupłą sylwetkę. Wszystko, czego brak mi, ale hej, przeciwieństwa się przecież przyciągają, nie?

- Wyskakuj z ciuchów - ponaglił mnie w końcu i rzucił w moim kierunku jakiś t-shirt bez nadruku i grubą bluzę. - Nastawiłem wodę na kawę... czy tam herbatę - dodał najwyraźniej przypominając sobie, że jej nie piję. Miłe zaskoczenie. - A teraz idę zapalić - oznajmił, zgarniając z sofy puchaty koc.

- Chce pan dołączyć?

- Zawsze - odparłem z lekkim uśmiechem, a ten zarzucił na mnie koc, samemu wychodząc na taras.

- Masz zmarzluchu.

- Dzięki... czekaj. Skąd wiedziałeś, że się zgodzę?

- Nie wiedziałem. Gdybyś się nie zgodził, to bym został, głupio zostawić gościa – powiedział, sięgając po schowaną pod doniczką paczkę fajek. On mnie chyba nigdy nie przestanie zadziwiać.

Ja, zamiast wyjść na zewnątrz, zawróciłem do kuchni, słysząc charakterystyczne pstryknięcie czajnika elektrycznego sygnalizujące, że woda właśnie skończyła się gotować. Zdjąłem z półki dwa kubki i postawiłem je na blacie. Szybko zalałem jeden z torebką herbaty i drugi podobny, tylko z kawą. Uzbrojony w nie wyszedłem w końcu na zewnątrz. Czekałem na komentarz w stylu „Zgubiłeś się?”, ale nic takiego nie padło z ust Gabriela. Właściwie poza dymem, to nie wydobywało się z nich przez naprawdę długo zupełnie nic. Postanowiłem więc po prostu odłożyć kubki i przysiadłem na jednym z stojących przy nas krzesłach.

- Rodzice zabiliby mnie, gdyby zobaczyli peta w moich ustach - westchnął ciężko, ni stąd, ni zowąd zaczynając rozmowę. Zaciągnął się i wypuścił pomiędzy warg nieregularną chmurkę dymu, która rozpląnęła się po chwili, znikając bezpowrotnie. Przysiadł na leżaku obok mnie, pochylony do przodu, by nie kurzyć na mnie zbytnio i mieć bliżej do leżącej na stoliku popielniczki.

- Czemu palisz? - wypaliłem.

- Żeby się zrelaksować - odpowiedział równie banalnie, jak ja zadałem pytanie.

- Są inne sposoby.

- Jakie? - zapytał i znów wciągnął powietrze przez papierosa, a odrobina popiołu spadła mi na buty.

- Nie wiem... - wzruszyłem ramionami, a on jedynie parsknął cicho. Przecież musiałbym się najpierw zastanowić!

- No właśnie... - prychnął cicho, chociaż nie złośliwie, na dowód czego uśmiechnął się do mnie delikatnie - dlatego palę.

- Mógłbyś znaleźć kogoś, kto pomógłby ci się odstresować, odetchnąć...

- odezwałem się po chwili spokojnie, wracając do zadanego mi wcześniej pytania i zawieszając wzrok na jakimś oddalonym, bliżej nieokreślonym punk-

cie. Było mi wyjątkowo dobrze i nawet nie myślałem, że mogę być przy nim tak swobodny, a moje towarzystwo może mu na tyle pasować, by sam z siebie zaczynał pogawędkę. Mam gdzieś cały plan. To, w którym kierunku zmierza ta rozmowa jest dużo lepszą szansą. Nic mi jej teraz nie odbierze.

- Tak? Na przykład kogo takiego? - dopytywał czarnowłosa, dogaszając papierosa

i stając naprzeciwko mnie. Teraz albo nigdy.

Już nabierałem powietrza w płuca, by wprawić w ruch moje struny głosowe i faktycznie, zaczęły drgać. Zupełnie niesłyszalnie przez zagłuszający je odgłos samochodowego klaksonu!

- Cholera - wyrwało się z ust Gabriela, który jak poparzony wpadł do domu i równie szybko z niego wypadł.

- Co się dzieje? - zapytałem kompletnie zdezorientowany. Czy to jest to, o czym myślę?

- Starzy wrócili - powiedział spanikowany. Czyli się nie pomyliłem...

- Ale mówiłeś, że nie będą mieli nic przeciwko, jeśli przyprowadzisz chłopaka - trochę nieumiejętnie ująłem to, o czym mówił mi w szkole.

- Tylko, że jeszcze nim nie jesteś, a oni i tak na razie niczego nie wiedzą! - jęknął chwytając się za głowę i ciągnąc lekko swoje włosy, podczas gdy ja siedziałem dalej kompletnie skamieniały. Chłopaka... CHŁOPAKA. CHŁOPAKA!!! To mi się śni, tak? Na pewno utopiłem się wtedy podczas skoku, no bo jak inaczej to wytłumaczyć? Przesłyszałem się? Nie ma takiej możliwości! Słyszałem go głośno i wyraźnie! Powiedział chłopaka! Słodki Jezu...

Kiedy w mojej głowie zaczęły kłębić się tysiące myśli i pytań, Gabriel chwycił mnie za rękę i zaraz ciągnąc przez całe podwórko, aż do jakiś drewnianych drzwi w płocie, postawił mnie przy nich na moment, otwierając je szybko i wypychając mnie za ich próg. Wtedy w końcu wybudziłem się na tyle, by w całym tym amoku nareszcie się odezwać.

- Gabriel, ty jesteś g- - zacząłem, ale brutalnie mi przerwał.

- Wrócimy do tego jutro. Wpadnę do ciebie punkt 20. Lepiej, żebyś miał otwarte okno. Przyniosę wtedy twoje ciuchy. I ciasto. I torbę, na razie! - rzucił tylko, zamykając mi drzwi przed nosem, nim zdążyłem zgłosić swój sprzeciw. Po drugiej ich stronie dało się słyszeć razem z moim pełnym wyrzutem głosem krzyczącym jego imię to, jak chłopak z hukiem wpada na werandę, a później do domu...

Nie mogłem się ruszyć. Zostawił mnie w takiej chwili! Przecież to nie-ludzkie! Akurat kiedy najbardziej chciałem, żeby został. A niech go szlag! W drodze powrotnej do domu musiałem szczypać się w policzek na każdym zakręcie, żeby upewnić się, czy to wszystko nie było tylko jakimś wyjątkowo złośliwym, sennym wytworem mojej wyobraźni, ale nie budziłem się. Za to w domu musiałem tłumaczyć, skąd wzięła się na mnie, dotąd ani razu nie widziana przez moją matkę, przyduża bluza, którą dojrzała akurat, gdy zrezygnowany i poirytowany rzucałem się na łóżko w moim pokoju.

Drań... Niech no tylko przyjdzie w niedzielę. Niech tylko się pojawi, a ja już mu powiem! Powiem w końcu tej cholercze, jak...

Nagle na wyświetlaczu mojego telefonu pojawiła się wiadomość od Gabriela:
- „Hej, Kornel. Przepraszam za dzisiaj. Obiecuję, że jutro obaj razem się od-stresujemy.”

... powiem mu, jak bardzo go kocham.



Justyna Ciebień

(godło: JC)

**II Liceum Ogólnokształcące im. ks. J. Twardowskiego
w Dębicy**

Niewidzialna

Zapaliłam światło i otworzyłam okno łazienki. Spałam zaledwie kilka godzin. Już od dłuższego czasu zauważyłam u siebie problem ze snem. Było wyjątkowo wcześnie. Umyłam ręce i twarz. Spojrzałam w lustro. Jak zwykle nic się nie zmieniło – pomyślałam. Widziałam burzę loków układających się w każdą możliwą stronę. Nienawidziłam ich. Tych loków, tej twarzy, tego ciała. Dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, że płaczę. Dzień, jak co dzień. Lepiej płakać w samotności, bo tylko wtedy mogę sobie na to pozwolić. Włączyłam prostownicę. Pozwoliłam łzom spływać podczas kolejnego spalania moich włosów. Kiedy emocje opadły wystarczająco, chwyciłam kosmetyki do ręki i zaczęłam się malować. W makijażu nie było nic szczególnego – nie chciałam się wyróżniać. Nie jadałam śniadań. Mimo głodu, myśl o zbędnych kaloriach wygrywała. Miałam jeszcze sporo czasu do przyjazdu autobusu. Wracając do pokoju, wyciągnęłam podręcznik i notatki. Zawsze dużo się uczyłam. Tylko to się we mnie nie zmieniło. Przestałam malować dwa lata temu przez stres i trzęsące się ręce. Ten sam los podzieliła moja pasja do tańca.

Poranek minął wyjątkowo szybko, a ja siedziałam już w autobusie. Zawsze wpatrywałam się w miasto podczas jazdy. Dzięki temu mogłam unikać wzroku ludzi siedzących dookoła mnie. Promienie słońca muskały drzewa i dachy budynków. Dzieci wychodziły z domów. Zaspani przechodnie wyprowadzali swoje psy, a ruch z każdą ulicą się powiększał. Wszystko zaczynało budzić się do życia. Wszystko z wyjątkiem mnie. Nie lubiłam zwracać na siebie uwagi, dlatego zawsze szłam za wychodzącymi ludźmi. Prędko dostałam się do szatni i odwiesiłam kurtkę. Teraz zostało mi tylko przejść przez korytarz do sali biologicznej. Usłyszałam dzwonek. To idealna okazja. Zaczęłam iść blisko ściany. Wszyscy już wchodzili do sal. Wbiegłam na piętro po schodach. Byłam coraz bliżej. Niezauważona wtopiłam się w tłum i we-

szłam do sali. Już po wszystkim – pomyślałam – jestem bezpieczna. Na ławce leżały już nasze testy. Usiadłam przy oknie i odwróciłam kartkę. Nie było zaskoczeniem, że znałam odpowiedź na każde zadanie. Jednak zostawiłam parę błędnych odpowiedzi, aby nie otrzymać najlepszej oceny. Powtarzałam ten schemat na każdym przedmiocie.

Nie musiałam długo czekać, bo już na pierwszej przerwie mnie znaleźli. Przechadzali się zwartą grupą środkiem korytarza z głową wysoko uniesioną do góry. Była ich zaledwie piątka, ale i tak działali na otoczenie jak zaraza. Nie ja jedyna stałam się ich „rozrywką”. W ciągu kilkunastu sekund korytarz ucichł. Niektórzy opuszczali głowy i próbowali jak najszybciej zniknąć z pola widzenia grupy. Atakowali niezauważeni, po cichu. Łapali zagubionych i słabych. Ranili bezlitośnie, zostawiając brzydkie blizny na psychice. W chwili, kiedy moje spojrzenie spotkało się ze wzrokiem długowłosej brunetki, straciłam szansę na ucieczkę. Uśmiechnęła się do mnie – tak się zaczynało. Na korytarzu zostało zaledwie kilka osób, a nauczyciele nagle się rozplnęli.

– Co jest pulchniutka? – otoczyli mnie, pozostawiając w sytuacji bez wyjścia. Zabolało. Takie niewinne słowo „na start” przywołało wspomnienia, których tak bardzo chciałam się pozbyć. W ciągu ostatniego roku schudłam niewyobrażalnie dużo. Wcześniej nie miałam nadwagi, ale nie byłam również szczupłą. Chudłam, ponieważ już nigdy nie chciałam, aby ktoś tak mnie nazywał. To właśnie od nich się zaczęło.

– Szukałam cię przed lekcjami, ale jakoś nie miałam okazji się przywitać – mówiła drwiąco.

Pozostałe osoby wyszczerzały zęby z wyjątkiem Adama. Trzymał ręce w kieszeniach spodni i gapił się na mnie jak na karalucha. Jednak w przeciwieństwie do reszty zachowywał wystarczająco duży odstęp, abym mogła jeszcze oddychać. Na moment Kamila spuściła wzrok na moją białą bluzkę.

– Oj! Potrzebny śliniaczek? – zawołała głośno – Brudaska. O tu! Ohyda. – chwyciła mnie za kołnierzyk, ciągnąc go w dół, a mnie razem z nim; była zachwycona. – Widzę, że nawet sobie nie pomagasz. Jesteś nadal tak samo obrzydliwa – nagle cała paczka wybuchła śmiechem. Nawet Adam uśmiechał się drwiąco. – Paskuda. Na moje szczęście zadzwonił dzwonek. Na ich twarzach pojawił się wyraźny grymas i powoli zaczęli kierować się w stronę schodów. Chłopak o ciemnych włosach ruszył ostatni, trącając mnie moc-

no w ramię. Zaczęłam ciężko oddychać. Odchyliłam głowę do tyłu, aby powstrzymać się od płaczu. Patrzyłam w sufit. Niestety moje emocje były zbyt silne, a kiedy poczułam łzy na policzkach, pobiegłam do najbliższej toalety. W lustrze od razu zauważyłam niewielką plamę na kołnierzyku. Po raz pierwszy nie mogłam opanować łez. Było ich tyle, że przestałam wyraźnie widzieć. Miałam ochotę krzyczeć. Odkręciłam kran, nałożyłam mydło na rękę i zaczęłam wcierać je w plamę. Miałam już tego dość. Najchętniej uciekłabym do domu. Spojrzałam na siebie w lustro i wzięłam głęboki oddech. Wyciągnęłam z plecaka sportową bluzkę i prędko się przebrałam. Było już dawno po dzwonku. Poprawiłam szybko makijaż, aby zatuszować ślady łez. Zawiesiłam plecak na ramię i ruszyłam prosto do sali matematycznej. Następne godziny minęły bez większych przykrości. Staralam się zapomnieć o porannych zdarzeniach i pogrążyć się w nauce. Wychodziło mi to całkiem nieźle. Kiedy zadzwonił ostatni dzwonek, a wszyscy kierowali się do wyjścia, poczułam silne mdłości. Zaczęłam się dusić. Aby uniknąć tłumu na korytarzach, skierowałam się do bocznego wyjścia. Podczas biegu wszystkie oczy skierowane były na mnie. Gdybym mogła, zapadłabym się pod ziemię. Szarpnęłam czerwone drzwi i wpadłam po drugiej stronie na barierkę. Znajdowałam się na zewnętrznej klatce schodowej szkoły. Dzięki świeżemu powietrzu poczułam się zdecydowanie lepiej.

– Wszystko okej? Zaskoczona drgnęłam, ale nie odwróciłam się. Głos Adama bardzo łatwo było rozpoznać. Jeszcze jego tutaj brakowało – pomyślałam. Musiałam zniknąć stąd jak najszybciej. Wiedziałam, że gdzie jest ten blondyn, tam pozostała czwórka. Nastąpiła cisza, przez co poczułam się niezręcznie. Wiedziałam, że powinnam się odwrócić, coś odpowiedzieć, cokolwiek. Próbowалам wykrztusić coś w stylu „Nic mi nie jest”, jednak nie potrafiłam wydać z siebie żadnego dźwięku. Czułam, że mnie obserwuje. Wystarczyło, że przechyliłam głowę w jego stronę, a duszności powróciły. – To ty – powiedział cicho. Wyglądał na zmieszanego. Jestem pewna, że słyszał mój ciężki oddech. Poczułam lekką adrenalinę i nie tracąc czasu zaczęłam uciekać. Bałam się ośmieszenia, kolejnych komentarzy i złośliwości. Nie chciałam być znów oceniana. Biegłam najszybciej jak potrafiłam. Kiedy minęłam kilka ulic, zdałam sobie sprawę, że nikt mnie nie goni. Bo po co? Usiadłam na jednym z przystanków i czekałam na autobus. Byłam zmęczona. Mój organizm domagał się jedzenia, ale ja odrzucałam to wołanie.

Kiedy nareszcie dotarłam do domu, jedyna rzecz, o której marzyłam to położyć się na łóżku, zasnąć i zapomnieć o wszystkich problemach. We śnie czułam się szczęśliwa. Nagle w mojej bezpiecznej przestrzeni odezwał się znajomy głos. Z każdą chwilą stawał się wyraźniejszy, ale nie potrafiłam go zidentyfikować. Bardzo mi przeszkadzał.

– Julka, wstawaj – mama ruszała moim ramieniem – wstawaj, już jest późno. Uśmiechała się do mnie, a jej jasne kosmyki zsuwały się na twarz. W wieczornym świetle wyglądała na zmęczoną. – Kochana, mam do ciebie prośbę. Ala jedzie na biwak i trzeba ją odprowadzić pod szkołę. Miałam to zrobić, ale okazało się, że mam dyżur – wstała i zawiesiła torebkę na ramieniu. – Na dole masz obiad. Wrócę późno.

Na zegarku było już po dwudziestej. Ostre światło ekranu telefonu sprawiło, że poczułam się odrobinę bardziej rozbudzona. Wyszukałam szybkie zdjęcie z rozkładem jazdy autobusów. Miałam niecałe piętnaście minut. Niechętnie zwlekłam się z łóżka i ruszyłam do łazienki. Wzięłam głęboki wdech i stanęłam na wadze. Przez chwilę nie dowierzałam. Sporo schudłam. Zaczęłam się śmiać. Byłam przeszczęśliwa, ale po chwili tę radość przerwał silny ucisk w brzuchu. Musiałam coś zjeść. Wiedziałam, że dłużej nie mogę się wstrzymać. Zeszłam powoli po schodach i poczułam wspaniałą woń. Alicja stała na stołku w pełnym mundurku, z zielonym berecikiem na głowie. Kiedy się zbliżyłam, ona odwróciła się, pokazując mi talerz pełen udekorowanych naleśników.

– To dla ciebie. – Powiedziała wesolutkim głosem. Uśmiechnęłam się szeroko, ale z drugiej strony nie wyobrażałam sobie przełknąć tylu kalorii.

– Dziękuję i to bardzo, ale musimy już iść, bo nam autobus odjedzie. Już zakładałam mały plecaczek, gdy Alicja zrobiła swoją popisową minę. Wyglądała tak niewinnie i uroczo, że nie mogłam się jej oprzeć. Podeszłam do niej i chwyciłam jednego naleśnika

– Resztę zjem jak wrócę – Spojrzałam na nią znowu i szeroko się uśmiechnęłam – Obiecuję. Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, jak głodna byłam. Jednak zdążyłam ugryźć tylko odrobinę. Zabrałam najpotrzebniejsze rzeczy, owinęłam się chustą i zamknęłam dom. Z autobusem zgrałyśmy się idealnie.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, Alicja wybiegła jako pierwsza i ustawiła się obok koleżanek, podobnie do niej ubranych. Przytuliłam ją na pożegnanie i machałam, kiedy autobus zaczynał odjeżdżać. Słońce już zaszło, a ja prze-

gapiłam ostatni powrotny kurs. Zostałam na parkingu sama jak palec. Towarzyszył mi jedynie blask latarni. Wiedziałam, co to oznaczało, przez co zrobiło mi się gorąco. Nie zostało mi nic innego jak wracać przez las, który był jedyną drogą do domu. Czy ten dzień może być jeszcze gorszy? Przecież każdy horror uczy, żeby nie chodzić nocą po lesie. Wzięłam wdech, który niby miał dodać mi odwagi i ruszyłam przed siebie. Włączyłam latarkę w telefonie, podniosłam głowę i starałam się iść pewnym, wielkim krokiem. Całe szczęście droga była asfaltowa, więc w razie czego mogłam szybciej uciekać. Szłam już kilkanaście minut. Po pewnym czasie przestałam się aż tak bardzo bać. Noc była przepiękna. Gwiazdzone niebo wyłaniające się zza koron drzew dodawało mi otuchy. Zza moich pleców wyjechał motor, jadąc zdecydowanie za szybko. Bałam się, że mnie potrąci, więc szybko zeszałam z drogi na tyle, na ile mogłam. Głupek – pomyślałam. Mimo wszystko dźwięk maszyny dodał mi odwagi, zresztą jak wszystko, co przełamywało tę przerażającą ciszę. Chwilę później z oddali usłyszałam potężny huk. Zaczęłam biec, a za zakrętem zobaczyłam dym unoszący się z rowu. Podbiegłam bliżej i ujrzałam motocyklistę wyrzuczonego kilka metrów od maszyny. – Nie, nie, nie! – krzyczałam. Co ja miałam zrobić? Wykręciłam numer na pogotowie. Ręce trzęsły mi się potwornie. Jednak udało mi się opanować emocje na tyle, aby cokolwiek powiedzieć przez telefon. Nagle nastąpiła cisza. Załamałam się. Całą baterię zużyłam na oświetlenie drogi latarką. Przeskoczyłam rów, aby dostać się do poszkodowanego. Na szczęście oddychał, więc i ja trochę się uspokoiłam. Spoglądał na mnie, ale nie odezwał się ani słowem. Bałam się zdjęć kask, dlatego zaczęłam szukać krwi na reszcie ciała. Przebijała się przez spodnie na lewej nodze. Szybko zdjęłam chustę z szyi i uwiązałam ją wokół rany. Byłam przerażona i w dodatku sama, no oprócz półprzytomnego, krwawiącego chłopaka obok mnie.

Od momentu, kiedy znalazła nas karetka, widziałam wszystko jak przez mgłę. Ratownicy wprowadzili mnie do środka pojazdu i posadzili na jednym z foteli. Płakałam cicho i modliłam się, aby przeżyć. Nie byłam specjalistką w udzielaniu pomocy, więc miałabym wyrzuty sumienia, gdyby przeze mnie jego stan się pogorszył. Jakby tego było mało, zaczęłam mieć mdłości. Wszystkie dźwięki stały się miększe i cichsze, aż po chwili nie widziałam już nic.

– Otwórz prawe oko – kobieta świeciła małą latarką po moich oczach – teraz lewe. Dobrze, to tyle. Włożyła narzędzie z powrotem do kieszeni i spojrzęła jeszcze raz na mnie – możesz już wstać – Podeszła do biurka i zaczęła pisać coś na kartce. Wstałam i podeszłam do małego lusterka nad umywalką. Oczy miałam zaczerwienione i mocno podkrążone. Moje proste włosy zamieniły się w burzę loków a makijaż poważnie potrzebował pomocy. Kiedy odwróciłam się do lekarki, ona wyprowadziła mnie z gabinetu. Na korytarzu stała mama, na której szyję rzuciłam się bez zastanowienia.

– Julka, tak się martwiłam – szepnęła mi do ucha, odwzajemniając uścisk. Nawet nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo tego potrzebowałam. W jej objęciach czułam się w pełni bezpieczna, odseparowana od okrutnego świata. Mama zabrała z ręki lekarki kartkę i podziękowała z delikatnym uśmiechem.

– Musimy porozmawiać – powiedziała, prowadząc mnie w stronę jednej z szarych kanap na korytarzu. Usiadłyśmy obok siebie i przez dłuższą chwilę żadna z nas nie chciała mówić jako pierwsza. Być może dlatego, że nie wiedziałyśmy, od czego zacząć. Natomiast moje myśli krążyły tylko wokół wypadku. Z jednej strony byłam bardzo ciekawa, w jakim jest stanie. Ale jeśli tego nie przeżył, nie wybaczyłabym sobie. Bałam się, że mogłam zrobić coś złe, popełnić błąd, przez który pozbawiłabym go życia. Czy miałam na tyle siły, aby wystarczająco zacisnąć chustę? Pochyliłam się do przodu i oparłam twarz na dłoniach.

– Nie martw się kochana – położyła rękę na moich plecach – poradziłaś sobie wzorowo. Kiedy tylko to powiedziała, odwróciłam się i przytuliłam ją najmocniej jak potrafiłam.

– Co z nim jest? – zapytałam opierając głowę na jej ramieniu.

– Przez chwilę było ciężko, ale opanowaliśmy sytuację. Teraz musi odpoczywać i jutro zadecydujemy, co dalej. Po jej słowach odetchnęłam z ulgą. Bardzo obawiałam się najgorszego. Na myśl o tym wydarzeniu skuliłam się i wtuliłam w mamę. Znowu widziałam otaczający mnie ciemny las, dym, krew.

– Byłaś bardzo dzielna – powiedziała wrywając mnie z zamyślenia – uratowałaś tego chłopaka. Gdyby ciebie tam nie było, mógłby nie otrzymać pomocy na czas. Jej słowa dodały mi odrobinę otuchy. Wiem, że starała się mnie pocieszyć, ale ja jeszcze nie potrafiłam się do końca uspokoić. Podniosłam głowę i spojrzałam jej w oczy.

– Czy – zawałam się – mogłabym go zobaczyć?

– Obawiam się, że to niemożliwe – odpowiedziała cicho. Przez chwilę patrzyła na mnie w milczeniu. Bardzo zależało mi na tym, żeby się zgodziła.

– No dobrze – westchnęła i zaczęła rozglądać się po korytarzu – chodź za mną. Ledwie zdążyłam się podnieść, a ona już była niedaleko schodów.

– Na co czekasz? – ponagliła mnie. Zaprowadziła mnie do małego pokoju znajdującego się w prawym skrzydle szpitala. Powiedziała, że mam kilkanaście minut, a ona w tym czasie przebierze się i zabierze mnie do domu. W jego pokoju świeciła się tylko nocna lampka, ale mimo to wszystko wyraźnie widziałam. Spał skierowany do okna, więc podeszłam bliżej, aby dostrzec jego twarz. Chciałam tylko wiedzieć, kim jest. Kiedy tylko się zbliżyłam, natchmiałam zamarłam. Nie mogłam uwierzyć, że na łóżku leżał Adam. Chcąc się wycofać, uderzyłam nogą o jakiś stolik. Próbowałam stłumić okrzyk bólu, ale chyba nie do końca mi się to udało. On już na mnie patrzył. Spanikowałam. Zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, ja już kierowałam się do wyjścia.

– Hej, zostań! – zawołał do mnie zachrypniętym głosem. Miałam go nie posłuchać, ale jednak już mnie widział, więc ucieczka byłaby tym bardziej podejrzana. Wzięłam głęboki oddech, odwróciłam się do niego i podeszłam bliżej.

– Kojarzysz mnie? – starałam się chociaż trochę nie brzmieć drwiąco.

– Byłaś tam, w lesie. Pomogłaś mi – próbował mówić płynnie, ale jego głos przerywał kaszel. Wyciągnął do mnie dłoń. Zawałam się, ale ostatecznie ją uściśnęłam – dziękuję – powiedział cicho. Nastąpiła cisza, a on nadal na mnie patrzył – jest mi wstyd – kontynuował – nie zasługiwałaś na to, co ci zrobiliśmy.

– Ty nic nie zrobiłeś – odparłam zmieszana, że mówi o tym, co działo się w szkole. – Właśnie w tym rzecz. Zawsze stałem i tylko obojętnie patrzyłem. Nie starałem się nawet ich powstrzymać. A teraz chcę zapaść się pod ziemię, bo mimo tego wszystkiego uratowałaś mi życie...

– Bez przesady. Zresztą nawet nie wiedziałam, że to byłeś ty – wtrąciłam, jeszcze bardziej nie wiedząc, do czego ta rozmowa zmierza.

– A gdybyś wiedziała? Zostawiłabyś mnie? – doskonale zdawał sobie sprawę, że jego pytanie nie wymagało odpowiedzi. W takich chwilach przeszłość nie grała dużej roli.

– Czuję się źle, że dopiero po tym uświadomiłem sobie moją obojętność...

– Julka chodź, zbieramy się – przerwała mu moja mama, wchodząc do pokoju. Kiwnęłam do niej głową, ale zanim ruszyłam do drzwi, Adam znów

chwycił mnie za dłoń i pochylił do siebie, abym mogła go lepiej usłyszeć.

– Przepraszam cię bardzo. Możesz mieć pewność, że to co było w szkole już się nie powtórzy. Uśmiechnęłam się do niego delikatnie, zabrałam dłoń i bez słowa wyszłam z pokoju. Tej nocy opowiedziałam mamie, co mnie spotykało i jak przez to reagowałam. Żałowałam, że nie zrobiłam tego od razu, kiedy się to zaczynało. Może wtedy nie straciłabym tyle czasu i siły. Ona natomiast na kartce ze szpitala dostała informację o moich niedoborach i tragicznym stanie zdrowotnym. Zdałam sobie sprawę, że mało brakowało, a w lesie nie mogłabym pomóc Adamowi.

Zapaliłam światło i otworzyłam okno łazienki. Spałam zaledwie kilka godzin, ponieważ tak długo rozmawiałam z mamą. Jednak, kiedy już się położyłam, nie miałam problemu, żeby zasnąć. Było wcześnie. Umyłam ręce i twarz. Spojrzałam w lustro. Coś się zmieniło... Widziałam burzę loków układających się w każdą możliwą stronę. Były piękne.

Poezja



Monika Czajka

(godło: Red)

**I Liceum Ogólnokształcące im. J. Chelmońskiego
w Łowiczu**

Uciekamy
Z ciała do ciała
Znudzeni szarymi kątami
I pajęczynami duszy

Uciekamy
Z ciała do ciała
Zakładamy maski niewiedzy
Udając szczęśliwych

Uciekamy
Z ciała do ciała
Pytają nas kim jesteśmy
A my płaczemy deszczem
I kroplami rosy

Zagubieni malujemy nasze życia
Na murach naszego miasta

O 04:04 nie ma snu
Jest tylko płacz zduszony w poduszkę
I skrzypienie drzwi na drugim piętrze
Marzenia powierzone gwiazdom
Bez szans na spełnienie
Jest deszcz który odbijając się od okien
Wpada przez skórę do naszych serc

I zostawia po sobie kałużę rozpaczy
Rytmiczne wchodzenie po schodach
Odbija się echem po całym domu
Zatrzymując oddech w naszych płucach

Błękitne niezapominajki stoją w wazonie
Żeby pamiętać
Ale nawet już nie wiemy o czym
Bezsensowność kłania się przed nami
Zdejmując kapelusz przybrany w gwiazdy

O 04:04 nie ma snu
Jestem tylko ja w swojej (nie)formie

To miała być
Zwykła rozmowa
Kilka słów
Sklejonych w zdania
I nie wiem
Skąd się wzięły w niej
Twoje ręce
To miała być
Zwykła rozmowa
Proste pytania
Krótkie odpowiedzi
I nie wiem
Skąd się wzięły w niej
Podniesione głosy
To miała być
Zwykła rozmowa
Nic więcej
I nie wiem czemu odszedłeś
Łamiąc mi serce



Aleksandra Rzadkowska
(godło: ☾)
Zespół Szkół Ogólnokształcących
we Włocławku

Wielkoludy

Szanowne wielkoludy
Rośnijcie tak bardzo jak chcecie
Lecz darujcie złudzenia że rosnę
I nie czyńcie mnie więcej proszę,
Okruchem w huraganie
Opadłym liściem w lecie
I strzępkim zawieruchy

Najbliższe mi wielkoludy
Może wy już zbyt duzi
By zrozumieć półczłowieka
Lecz nauczcie choć podstaw
Jak myśleć że czas wciąż zwleka
Jak wielkością napchać życie
Wszystko inne wyminąć
A przy okazji zachować
I w miłości podążać choć mgliście
Ze wszystkimi cudami świata
Nie spać nie marzyć
tylko kochać

Miętowe nieba

Panie Boże
W miętowym niebie
Uczyń dla mnie i dla niego
Choć wyszedł na chwilę
Niewielką zamianę
W różę ptaka robaka wiatr
Lub cokolwiek co podlega zmianie

Bo wiesz tak długo stoimy w tej kolejce
Zmęczyły nam się głowy nogi serca
Czas ukraść nam skrzydła

Wieszaki

Mijamy się na brzydkiej ulicy
Jak wieszaki
Bo zawsze zawieszam na tobie spojrzenie
Ty na mnie zawieszasz niewidzialny ciężar
Rozmawiamy pomijając słowa
Bo tak się rozumieją duch i szklany posąg
A ja po dalszy sen ukradkiem zmierzam

Gdy ta historia przejdzie do historii
Już sen się kończy wracam do piekła
Tam szarych oczu ani sztuki nie ma
Za to ja zamiast cierpienia cienia
Widzę Boga w postaci człowieka

Następnego dnia
Pozwól że zapomnę obudzić się w czas
I odstąpię miejsca
W kolejce do gwiazd



III miejsce w poezji

Sandra Maria Tokarska

(godło: Nita)

**II Liceum Ogólnokształcące im. S. Żeromskiego
w Tomaszowie Mazowieckim**

ONA

Niby prawdziwa, a jednak fałszywa
Niby jedyna, a jednak powszechna
Niby idealna, a jednak zepsuta
Niby miła, a jednak złośliwa
Niby ufna, a jednak zazdrosna
Niby łaskawa, a jednak okrutna
Potrafiąca w sekundę niszczyć to, co długo tworzyła,
Płacząca smutnie nad nieszczęściem, które celowo wywołała
Dająca wiele, a konkretnie nic
Posiadająca dwie różne twarze i obie prawdziwe
Będąca muzą dla wielu i zmorą dla reszty
Znajdująca się w najmniej odpowiednim miejscu, ale nigdy tam, gdzie jest potrzeba
Ale w sumie, czego można by się po niej spodziewać - to w końcu miłość.

WIERSZ DO MATKI

Pamiętam, jak bolało, kiedy na to patrzyłam,
momenty, w których twoja duma i szczęście wypełniały dom,
lecz Ona i On byli głównym tematem rozmów.
Pamiętam te dni, kiedy mnie do Niej porównywałaś,
to uczucie bezradności, kiedy wiedziałam, że w Twoich oczach nigdy jej nie dorównam.
Pamiętam te sytuacje, kiedy bałaś się powierzyć mi to, co najważniejsze,
ten dźwięk pękającego serca z świadomości, że mi nie ufasz.
Pamiętam chwilę, kiedy innym okazywałaś więcej miłości i ich oczy pełne radości i szczęścia.

Pamiętam nasze ciche, krótkie podróże,
kiedy wiedziałam, że słowo, które wypowiem może wywołać wojnę, którą i tak przegram.
Pamiętam te rozmowy przy obiedzie, kiedy zasłaniałam smutek uśmiechem.
Pamiętam, jak bolało, kiedy wiedziałam, że to nie moje miejsce,
że gram w tym przedstawieniu, lecz nie na scenie.
Ale chcę powiedzieć, że Ci wybaczam mamó,
wybaczam, że nie jesteś zawsze przy mnie,
że nie wspierasz mnie tak jak Cię o to proszę,
że nie widzisz moich łez,
że nie stałaś przy mnie, gdy odnosiłam sukcesy,
że czułam się samotna, kiedy patrzyłam na rodzeństwo.
Wybaczam, bo za bardzo cię Kocham i potrzebuję.
Dlatego proszę... usłysz moje ciche wołanie ukryte w prostych słowach,
które rutynowo wypowiadam.

PERSPEKTYWA

Widziałam dorosłych ludzi pędzących przez ulice,
widziałam ich oczy ze zmęczeniem patrzące na ziemię,
widziałam ich popękane ręce ściskające telefon,
widziałam ich smutne miny oświetlone promieniami słońca,
słyszałam wiele rozmów o braku czasu dla rodziny,
słyszałam narzekanie niektórych na niskie zarobki,
słyszałam ich ciężki oddech, kiedy autobus się spóźniał,
słyszałam krople deszczu, którymi nikt się nie zachwycał.
Wiedziałam, że świat, w którym dotąd trwałam nagle znika,
że to koniec bez troski, że czas przestać być dzieckiem.
Ale mimo to i tak się uśmiecham, bo wiem,
że i ten świat ma za dużo pięknych barw,
by widzieć go tylko w czerni i bieli.



Estera Sośniecka
(godło: Damaszek 19)
III Liceum Ogólnokształcące im. A. Mickiewicza
w Katowicach

Błękitna tafla, czarna noc.
Wiatr
Zmęczoną dłonią przesuwa zimną wodę.
Drzewa
Głośno skrzypią, jakby jęczały z wysiłku.
Klucz bezskrzydłych gęsi przeleciał.
Czy nocą widać cienie?
Śmieją się, choć nie mają oczu.
Piękny jeleń, który niedawno zrzucił poroże.
No i on.
Kryształowy księżyc,
Który nie wie, że nie świeci.
Dziś nie musisz skakać –
Wystarczy, że stoisz na brzegu.

Patronat Honorowy



Patronat Medialny



Patronat

